Egzemplarz obowiązkowy

W.B. im. L. W. Łódź

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 20 - 22 lipca 1958 r. Cena 1 zł nr 21

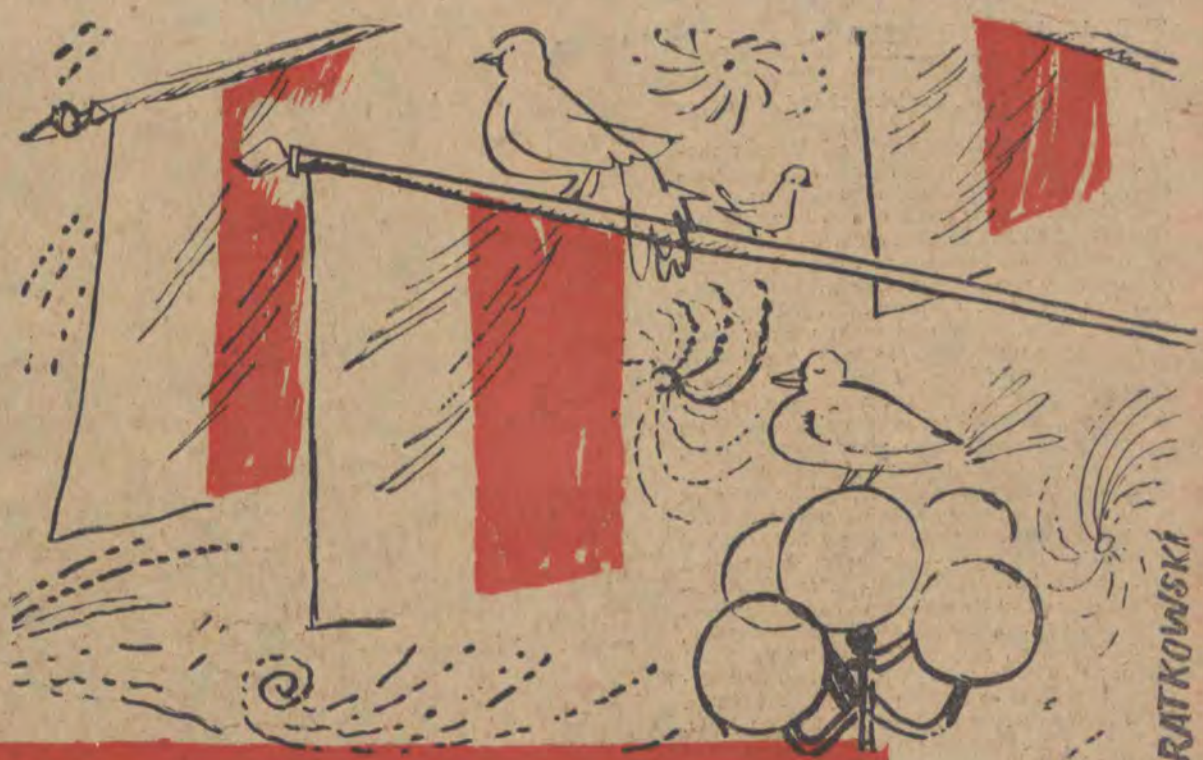

IBIS-GRATKOWSKI

POLONEZA CZAS ZACZĄĆ

DALSZY CIĄG

1000 LAT

1000 LAT

GODY NARODOWE

ZUSIA-ZUSIA-ZOSIA-ZOSIA-ZOSIA-

PT

PIOTRKOWSKA RÓG ANDRZEJA

STEFAN BRATKOWSKI

Dzień dobry Pani, Czytelniczko, dzień dobry Panu, Czytelniku.

Być może, tak się zdarzyło właśnie, że znaleźliście się 11 lipca przy rogu ulicy Piotrkowskiej i Andrzeja Struga, albo — być może — pracujecie w biurze czy sklepach w narożnych domach. Jeśli tak, to widziałem Was. Być może nawet rozmawialiśmy ze sobą. O Łodzi, o zarobkach, o sprawach powszedniego dnia. Byłem tam, na rogu. Cały dzień. Dlaczego? No cóż, ja jestem sobie taki mały uparty facet, przeczytałem u drugiego faceta w reportażu, że Piotrkowska to śmierć. I że „kanał". Rzeka brudu i nocnej zgnilizny. Przeklęta ulica, demonicznie zła. Więc poszedłem sprawdzać. Bo „kanał" to brzmi bardzo niecodziennie, a ja, ja nie mam zaufania do niecodziennych ulic. Obawiam się, że w ogóle wszystkie ulice są zwykłe, tyle że może każda na swój sposób.

Żadnej dziwki nie znam tu po imieniu, ani jednego lumpa, ergo — nie będę, jak tamten facet, ciągnął Was przez całą ulicę Piotrkowską, od początku do końca. W ogóle nie znam Łodzi, on ją znał, tamten facet, każdy kamień, każdą dzielnicę, ja przyjechałem tu na jeden dzień, na 20 godzin, zwykły, ciekawy dziennikarz, cóż mam — tylko oczy, język i notes. Więc lepiej niech on mi da for, tamten facet. Dobrze? Nie będziemy się włóczyć, boby mnie omamił kolorami nocnego miejskiego ptactwa, odurzył tzw. miazmatami.

Stanąłem sobie na 20 godzin w jednym miejscu: Piotrkowska, róg Andrzeja. Chodziłem, drep, drep, z jednej strony ulicy na drugą, między czterema narożnikami, ani kroku dalej, chyba do góry, do mieszkań przy rogu Piotrkowskiej i Struga. Żadnego fruwania; notesik i tylko — patrzeć. Czasem popytać o coś, i też nie o perspektywę kosmosu czy przygody Münchausena, ale właśnie o Łódź, o życie. I bez komentarzy. Bez komentarzy. Co się dzieje przy rogu tej ulicy przez jeden powszedni dzień? „Kanał"?

Oczywiście po paru godzinach rozbolały mnie nogi. Zrozumcie — 20 godzin. Dzień, godzina po godzinie. Stary chwyt. No, pewnie. Ale na tym rogu pierwszy raz.

O 3.30 rano

Na rogu Piotrkowskiej i Struga oświetlone są tylko wystawy i tabliczka dyżurów nocnych na aptece. Neon nad sklepem z bielizną nie pali się, obudowany jest rusztowaniami — taki sobie motylek na neonowych nitkach. Poza tym — ciemno. Taksówki od czasu do czasu przejeżdżają, na dużych szybkościach. Jest pusto.

3.50. Przelatuje ulicą, wyjąc, wóz milicyjny. Coś gdzieś dzieje się w nocy.

Grzechoczą pojedyncze wagony tramwajów nocnych. Wewnątrz niedospane twarze, ziewający dyskretnie konduktor. Na pomoście nikt nic nie mówi (jadę jeden przystanek — tam i z powrotem) dwie włókniarki, jadące na Pabianicką, półgłosem:

— Byłaś u doktora?

— Byłam.

— No i co? Co powiedział?

— Kazał iść do specjalisty.

— Hm. I nie powiedział, co to jest?

— Nie. Coś pokręcił głową. Na skierowaniu napisał, ale niewyraźnie...

— No, oni tak zawsze. Ale nie martw się...

Urywają rozmowę, spostrzegłszy, że się przysłuchuję. Obok jakiś człowiek mruga do mnie. „Baby. Ależ to głupie. Tajemnica. Kogo to obchodzi?" — Pan też do pracy? — „Nie wracam". Milkniemy. Facet uśmiecha się jeszcze raz, potem mruga oczami — tak, by odpędzić senność.

Na rogu oświetlone są, jak mówiłem, wystawy i nic poza tym. Ciemno.

Poddasze jest dla ludzi

Na jednym rogu mieści się PDT. Dom z 1892 roku, nieczynne neony, umieszczone na secesyjnej fasadzie. Pedetu pilnuje strażnik. Po drugiej stronie Piotrkowskiej, pod 95, pokoje nad sklepami zajmuje Liga Kobiet, wyżej pani Wojtas i jeszcze jacyś lokatorzy, na poddaszu w pojedynczych pokojach — starszy pan z żoną, urzędnik, były kamienicznik, obok pracownik umysłowy, pani Kram, czyli też, mówiąc po prostu, urzędniczka, z dwojgiem dzieci (są obecnie na koloniach), i młode małżeństwo Borowczyków (także z dwojgiem dzieci). Łazienek tu nie ma, wodę można zagotować na gazie, umyć się w misce. Albo w balii, jak kto chce.

Na poddaszu, w narożniku, po drugiej stronie ulicy Andrzeja okna są skierowane tylko do góry, przez dach, i przeciekają. Zarówno u starego Matusiaka, czyściciela szyb, jak u jego sąsiada — murarza, który z żoną i trojgiem dzieci zajmuje jeden pokój. To jeszcze oczywiście nie wszyscy mieszkańcy poddasza Piotrkowskiej 97. Państwo Kosińscy mają dwie córeczki, pokój przedzielony ścianką z dykty, obok nich mieszka pan Skierski z żoną, podobno eksmarynarz, dziś studiujący medycynę.

Piętro niżej — pewny siebie tłuściutki krawiec, pan Herszhorn, obok dentysta, który wyjechał na urlop i wywiesił kartkę, odwołującą wizyty.

Całe pierwsze piętro — Wojewódzki Zarząd Ligi Przyjaciół Żołnierza. Zresztą i czwarty dom narożny okupowany jest przez biura. Pierwsze piętro, drugie piętro. MZBM. Zarząd Nieruchomości. A poddasze jest dla ludzi. W maleńkich sześciu mieszkankach rezyduje zdun, ślusarz, radiotechnik, polerownik, stolarz.

Elester. — nazwa starożytna

Około 4.30 zapala się światło u pani Kram, a w mieszkaniu ślusarza z Piotrkowskiej 100, pana Pietruszki, pogodnego dwudziestotrzyletniego młodziana, dzwoni budzik — żona pana Pietruszki idzie na szóstą. Pani Kram także. Żona p. Pietruszki jest brakarką w Wytwórni Aparatów Elektrycznych „Elester". „Elester" — zabawna nazwa, starożytna — mówi pan Pietruszka. Żona pracuje na trzy zmiany, on na jedną, idzie dopiero na ósmą.

Koło 5.00 świta.

O wpół do szóstej milicjant z nocnego patrolu wdrapuje się do „gołębnika", zamocowanego na domu nr 95, uruchamia system świetlnych sygnałów, regulujących ruch uliczny.

Od wpół do szóstej nikt prawie już nie śpi na poddaszach, bo większość mieszkańców idzie na siódmą do pracy. O wpół do siódmej wychodzi pan Kosiński spod 97, jego sąsiad z przeciwka, murarz. Urzędnik spod 95, radiotechnik Błażejewski. Spokój panuje jeszcze na drugim piętrze u krawca Herszhorna, który nie jest skrępowany godzinami pracy.

Przed siódmą przejeżdżają kolejno dwie ciężarówki, przerobione na autobusy — „Przewóz pracowników". Duży ruch, wszyscy się spieszą. Ubrani są skromnie, bez elegancji zbytniej, ale schludnie.

Między siódmą a dziewiątą rozpoczyna się właściwy dzień. Rozpoczyna urzędowanie Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych, otwiera się o ósmej zakład kosmetyczny „Uroda i Zdrowie", o dziewiątej PDT. Po siódmej zjawiają się posterunki MO, przy PDT jest punkt informacyjny MO z telefonem, rezyduje tu także trzech milicjantów z białymi otokami — kompania ruchu. Działa już apteka, punkt sprzedaży losów loteryjnych. Robotnicy podejmują pracę przy neonie nad sklepem „Bielizna", pani Kosińska wychodzi po zakupy. W sklepie z warzywami obsługuje ją smutna, długa, młoda ekspedientka, od której nie można się dowiedzieć, dlaczego jest smutna.

O ósmej też zjawiają się pierwsi pracownicy kina „Wisła", które mieści się tuż za rogiem Tuwima. W „Wiśle" wyświetlają „Szatana zazdrości". „Wisła" to kino pierwszej kategorii. Pierwsze miejsce kosztuje 12 zł, pan Pietruszka i milicjant z rogu, który ma miesięcznie 1450 zł, mówią, że to drogo — kiedy coś ciekawego się zjawi, czekają, aż trafi do kina „Gdynia" — naprzeciw. „Gdynia" jest o połowę tańsza.

Za 15%

Po ósmej instaluje się tuż pod Pedetem tęga jejmość w białym fartuchu, z lodami. Lody ma z baru mlecznego, pracuje za 15% od utargu. Od bańki wynosi to 56 zł. A raz, jak były deszcze, sprzedawała bańkę cały dzień. Mąż ma rentę starczą, ona sama reumatyzm, w czasie wojny chowali się w lasach. Pieniędzy mało, trudno koniec z końcem związać, ale lodziarka siedzi dziś z uśmiechniętą miną i wyraźną sympatią dla wszystkiego dokoła — jest słońce i tak jakby było lżej żyć.

Milicjant narzeka na kierowców wozów z literą „H". „Często to się dopiero co nauczyło jeździć, nie zna przepisów, pcha się naprzód. Nie wie, kto ma pierwszeństwo przejazdu".

— A pan, codziennie tutaj?

— Nie. Codziennie gdzie indziej... Taki los milicyjny.

Dzieci, kwiatki i rybki

Przed Pedetem kolejka. Kiedy o 9.00 otwierają drzwi, kolejka rozpływa się wewnątrz i nie formuje nigdzie kolumny atakującej hurmem jedno stoisko. Nie ma dziś nic specjalnie atrakcyjnego. Dużo ubraniowych flanel. Wśród kupujących przewaga kobiet, stąd czasem scysje — kobiety są na ogół trudnymi klientami.

Przed południem w sklepie z warzywami idą raczej jarzyny, a nie owoce. Kobiety robią zakupy, na ulicy mężczyźni z teczkami, kobiety ze wsi załatwiają sprawunki w PDT. Jest ich mniej niż w poprzednich miesiącach — roboty się już w polu zaczęły.

Dwóch młodych ludzi gawędzi na rogu. Jeden ma urlop, jedzie dziś do Kołobrzegu do rodziny, drugi przyjechał z Warszawy na trening motorowy. Żonaci? Nie. „Nie można być dziś pochopnym". Co robią ich młodsi koledzy? „Albo śpią, albo pojechali na słońce".

Potem właśnie młodsi. Trzech. Wojtek ma lat 16, pracuje w Galanterii Luksusowej, zarabia do 1500 zł. Mirek w Zakładach Łukasińskiego, wyciąga do 1100 zł, Kazik uczy się w Liceum Plastycznym. Mirek i Kazik po 17 lat. Wojtek ma urlop, Mirek idzie do pracy po południu, wracają z parku, „nie ma co robić z wolnym czasem". „Na kajaki do parku Stefańskiego jechać można. Najwyżej".

Odchodząc później od dwóch innych mężczyzn, rozmawiających pod „gołębnikiem", przysiadam się do kwiaciarki. Sprzedaje kwiaty już 30 lat, kupuje od przywożących ogrodników. Ma już 9 wnucząt. A tutaj siedzi na stałym miejscu od trzech lat.

Aha, chcecie znać ceny kwiatków z rogu Piotrkowskiej i Struga?

Groszki — 3 zł, goździki — 4 zł. Od pęczka. Margaretki, żółte nachyłki, lwie paszcze — po 40 groszy sztuka, galary — 50 gr, a królewskie rogacze (ki diabeł? Co za nazwa?) — po złotówce. Zatem kupujcie kwiatki. Tanio.

Kupują młodzi i starzy, zależnie od okoliczności. Głównie panie domu — do wazoników na stół.

— Taak — potwierdza zwrotniczy tramwajowy (odpoczywa w pobliżu) — młodzi mniej kupują. Nie tak jak dawniej.

Osoba zwrotniczego związana jest z rogiem, jak kwiaciarka, lodziarka i milicjanci. Pan tu dawno?

— Od roku, panie dziennikarz. Przedtem pracowałem w wykończalni. Choroba mnie zjadła, roboty w Niemczech.

— Co pan robi poza pracą?

— Hoduję egzotyczne rybki... dziś mam już tylko trzy akwaria, dawniej miałem więcej... A ten — pyta zwrotniczy, wskazując jednego z niedawnych moich rozmówców — co go pan trzymał, to wygląda na oprycha, co? Co za jeden?

— Żadne oprychy. Tego drugiego — wtrąca się kwiaciarka — znam. Żonaty, dziecko ma, bardzo porządny chłopak, niech pan nie mówi...

Z drugiej strony ulicy drze się dziecko w wózku. Matka zostawiła je przy naszej znajomej — lodziarce. Sama poszła do PDT kupować buty. Dziecko krzyczy. Lodziarka buja wózek, uśmiecha się: — Dziecko nie patefon, nie można wyłączyć. Niech pan tam zajrzy, czy już kupiła, może stoi gdzie z brzega...

Nie ma. Psiakrew. A dziecko drze się na całą ulicę. Matka miała być ubrana w sukienkę w podłużne paski.

Przyszła dopiero po trzech kwadransach...

Dwie starsze panie

rozmawiają w słońcu. W Łodzi mieszkają od 1945 r., od powstania. Wszystko straciły i wszystkich. Niższa pani, 70 lat prawie, pracuje chałupniczo dla „Centrogalu", jest bardzo zadowolona ze swoich pracodawców — nie mówią dużo, a porządek jest i wiadomo o co chodzi. Tylko norma dla niej zbyt wysoka: lekarz powiedział — obniżyć normę albo porzucić pracę. Więc idzie właśnie do Związku Inwalidów, potem do MRN. Spotkały się na rogu, przystanęły, same, samiuteńkie, bez nikogo na świecie.

— Ach, proszę pana, radio mam. To wielkie szczęście. Gra u mnie od rana do wieczora, to przyjaciel dla mnie najbliższy, chciałabym napisać im choć raz, podziękować, ale cóż, nie mam czasu... Tacy dobrzy, kochani... bez nich mówić bym zapomniała...

Obie panie uśmiechają się. Słońce. „Nie narzekamy" — mówią. Więc wspominamy razem powstanie. Ich znajoma do tej pory nosi w ramieniu kulę od powstania, ramię boli, może nawet ropieć zaczyna, staruszka boi się, że jak pójdzie do lekarza, to będą robić dochodzenia, skąd kula, okaże się, że z powstania i ona straci pracę, no i z czego będzie żyć. „A my jej tłumaczymy, że to już dawno nie te czasy, nie ma się czego bać. Może wreszcie da sobie tę kulę wyjąć"...

Na dwunastą przychodzi do pracy dodatkowa zmiana do gabinetu kosmetycznego „Uroda i Zdrowie". Kierowniczka punktu mówi, że to zawód popłatniejszy nawet od medycyny. Fryzjerów i kosmetyków ciągle brak. „Mamy tu dwie uczennice, na specjalnym stypendium". — Kto przychodzi do nas? — Ekspedientki z PDT, dużo kobiet z fabryk nawet, szczególnie te z trądzikiem twarzy, urzędniczki. Leczymy również, dermatolog udziela porad"...

O dwunastej także przychodzi tu do pracy pani Wanda, studentka III r. anglistyki. Kurs skończyła jeszcze 9 lat temu, w „Urodzie" pracuje od trzech lat, ma oczywiście swoje stałe klientki. Synka zostawia pod opieką matki w domu.

O dwunastej także wychodzi z dziećmi na spacer pani Kosińska spod 97 numeru.

Konkurencja

Tramwaje wciąż pustawe, ruch mały. Koło wpół do pierwszej zjawia się dwóch sprzedawców lodów „Pingwin" w czekoladzie. Sterczą z pudłami wspartymi na patykach, dłudzy, chudzi, w przybrudzonych białych kitlach. Pytam lodziarki — konkurencja? Odpowiada z wyraźną wielkodusznością. — Ee, nie. Wie pan, jedni wolą w czekoladzie, na patyczkach, drudzy bez patyczków. Tak już jest. Kto ma kupić bez patyczka, to i tak kupi...

Doszlusowują saturatory z wodą sodową. Jeden przy kwiaciarce, drugi przy lodziarce, pod PDT. Jak kto chce z sokiem, może dostać z sokiem. Ja piję z podwójnym. Sprzedawczyni przy kwiaciarce odmierza mi skąpo, ta przy lodziarce, już poinformowana — uczciwie. — Napiszę — mówię. — Lubię wodę sodową z sokiem. I jak mi uczciwie mierzą, co mi się należy.

Przed sklepikiem z prasą pustki, pies wygrzewa się do słońca przed progiem. Na przeciwnym rogu przy neonie, robotnicy zdejmują drabiny i rusztowania. „Bielizna" ciągle zamknięta, wisi tabliczka „Przyjęcie towaru".

Pan Matusiak spod 97 czyści szyby sklepiku z prasą, jest nie wiadomo dlaczego wyraźnie nie w humorze. Przed PDT zajeżdża STAR z PTHW (ach, te skróty). Przywiózł obuwie.

Ekspress i Król Maciuś

Przed 14.00 przywozi następny STAR walizki dla PDT. Niedrogie, dobre, po sto złotych z hakiem. Do sklepiku z prasą przywożą „Ekspress Ilustrowany", na chodnikach pojawiają się mężczyźni i kobiety z nosami w płachtach papieru...

— Co pana dziś najbardziej zainteresowało?

— Katastrofa w Grodzisku. Podają szczegóły, o, widzi pan?

— A z innych?

— Międzynarodowych nie czytam. Co mnie to obchodzi. Może przy obiedzie przeczytam.

Drugi zagadnięty, nieprzyjemny grubas, opędza się ode mnie opryskliwie. — Tego, co ja bym chciał, to nie piszą.

— No, na przykład?

— E, panie, próżna gadka.

— Rozumiem — mówię — ustrój panu nie odpowiada, nie?

Zbywa mnie machnięciem ręki, że niby o czym tu gadać. A fotograf, stojący na krawężniku, czyta „Odgłosy". Chwali sobie. „Tylko coś tam kiedyś z Chrystusem nie tego.. W domu mi mówili, że dlaczego ja czytam takie pismo, co to coś tam z Chrystusem zrobiło"...

str. 4

PRZED DEFILADĄ

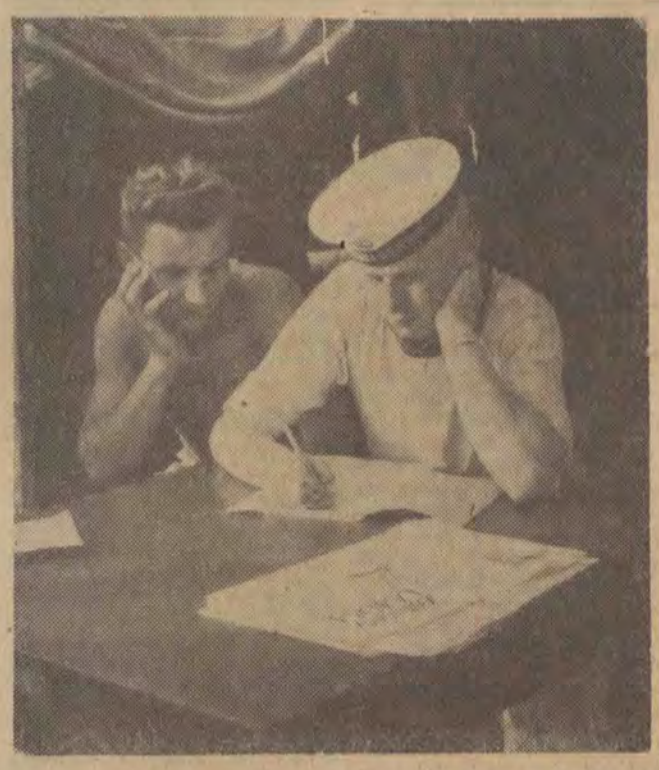

„... ta Zosia z Łodzi jest śliczna. Żałuj, że zostałeś na okręcie podwodnym. Chociaż woda naszym żywiołem, dowódca pochwalił nas dzisiaj, że dobrze maszerujemy. Wyprałem już białe palowe rękawiczki. 22 lipca maszerujemy na defiladzie. Franek radiotelegrafista opowiada, że wczoraj wieczorem"...

Nie, to absolutnie nie wypada czytać cudzych listów. Już prędzej można wybaczyć ujawnienie niedyskrecji z życia żołnierzy różnych rodzajów broni zgrupowanych obecnie w okolicach Łodzi i intensywnie przygotowujących się do wielkiej rewii wojskowej.

odgłosy

rozmawiają

z generałem dyw. Czesławem Waryszakiem

Łódź po raz pierwszy w swej historii będzie przeżywała za kilka dni centralną defiladę wojskową. W związku z tym zwróciliśmy się do dowódcy defilady, generała dywizji Czesława Waryszaka, dowódcy śląskiego okręgu wojskowego, z prośbą o udzielenie odpowiedzi na kilka pytań.

— Przede wszystkim, Panie Generale, czy w swej dotychczasowej karierze zetknął się Pan już kiedyś z Łodzią?

— Oczywiście, Łódź znam, bywałem tu niejednokrotnie, ale tak bliskiego kontaktu jak obecnie jeszcze z nią nie miałem...

— A propos, a z jakich okolic Pan pochodzi?

— Z Lubelszczyzny...

— Teraz może coś z „ankiety personalnej": wiek, pochodzenie społeczne i zawód — oczywiście ten przed wojskiem, cywilny?

— Wiek — urodzony w 1919 roku, ojciec robotnik kolejowy na Lubelszczyźnie, do dziś rodzina zresztą tam przebywa... Od ukończenia szkoły jestem w wojsku. Walczyłem od pierwszego okresu walk z faszyzmem, a więc od września 1939 r....

— A potem?

— Potem, Szkoła Oficerska, cały szlak bojowy I Armii. Pierwszy raz byłem kontuzjowany pod Lenino. Dalej dwie Akademie Wojskowe...

— Jeśli można uchylić rąbka „tajemnicy wojskowej" — co zobaczymy z nowości w czasie defilady?

— Defilada będzie przede wszystkim przeglądem wszystkich zasadniczych rodzajów broni — począwszy od jednostek zmotoryzowanej piechoty, poprzez artylerię różnego kalibru, wyrzutnie rakietowe, czołgi, sprzęt inżynieryjny, w tym i amfibie, jednostki spadochronowe, no i oczywiście nowoczesne lotnictwo i helikoptery.

A z nowości? Łódź po raz pierwszy zobaczy nowe czołgi polskiej produkcji. Będą i inne rzeczy — ale to już niech będzie niespodzianką...

— Może takie pytanie, bardziej osobiste: czy ma Pan, Panie Generale, tremę przed defiladą, to przecież bardzo poważny egzamin dla wojska?

— Trema to ostatecznie zupełnie ludzka rzecz i nie omija także generałów. Ale — nasz sprzęt dotychczas nie zawiódł, nawet w o wiele gorszych warunkach niż na defiladzie. Mam również zaufanie do sprawności bojowej podwładnych żołnierzy i na pewno nie będę się musiał za nich wstydzić. Tak więc nie mam specjalnych powodów do zbytniej tremy i muszę się przyznać — śpię zupełnie dobrze...

W sprawnym przebiegu defilady liczymy także na pomoc łodzian. Szczególnie będzie ona nam potrzebna w utrzymaniu porządku na trasie.

— Wiemy, iż jest Pan dowódcą ogólnowojskowym, ale do jakiej broni ma Pan Generał największy sentyment?

— Chociaż może się to wydać dziwne, największy sentyment mam do piechoty. Nasza piechota, która jest zmotoryzowana i zmechanizowana, konia nie znajdziesz na lekarstwo — śmieje się generał — pozostanie zawsze „królową broni". Inne rodzaje broni, łącznie z lotnictwem, zasadniczo spełniają rolę służebną w stosunku do piechoty. Tak więc mój sentyment jest w pełni uzasadniony — i żołnierze innych rodzajów broni na pewno mi go wybaczą...

— A jakiego ma Pan Generał cywilnego „konika"?

— Mój konik stoi na pograniczu wojska i cywila — pasjonuję się myślistwem...

— I wreszcie ostatnie pytanie: w Łodzi jest wielu oficerów rezerwy, niektórzy zostali nawet zaproszeni na trybunę. Czy może chciałby Pan Generał przy tej okazji coś im przekazać?

— Chciałbym zarówno oficerom rezerwy, jak i wszystkim łodzianom w imieniu wojska przekazać serdeczne żołnierskie podziękowanie za gościnność, z jaką się tu spotkaliśmy. Pragnę podkreślić, że w wojsku zawsze jest żywa pamięć o tych, dzięki którym możemy obchodzić święto 22 Lipca w wolnej Polsce. I chociaż obecnie jesteście żołnierzami bez mundurów — przy warsztatach, w gabinetach lekarskich i przy stołach kreślarskich, walczymy zawsze o to samo — o to, by nasza Ojczyzna była coraz szczęśliwsza, coraz bogatsza. I chyba przy okazji tego święta powinniśmy sobie złożyć wzajemne życzenia, by ta walka przynosiła coraz więcej zwycięstw...

Teksty: Waldemar Uchman

Zdjęcia: Eugeniusz Kudaj

Nie mogliśmy niestety mimo najbardziej podchwytliwych pytań wydobyć od kucharza tajemnicy gotowania słynnej żołnierskiej grochówki. Krawiec za to nie liczy się absolutnie z tajemnicą wojskową. Dowiedzieliśmy się nawet, że wojsko nie dysponuje jeszcze żadną maszyną do... przyszywania guzików. Ale jeśli pękną spodnie — a to zdarza się najbardziej wzorowemu żołnierzowi — na maszynie robi się to „na poczekaniu"...

Bywa i tak. Ostatecznie żołnierz to nie baletnica i noga nie zawsze wyskoczy na tę wysokość, jaką by się chciało. Nie martwcie się jednak — do defilady wszystko będzie „na medal"...

Kapelusz z piórkiem, peleryna z szarotkami... Ten juhas jednak nie pilnuje spokojnych owieczek. Chłopcy z góralska odziani strzegą jako WOP-iści naszych granic. Są z tego zadania równie dumni jak z pięknych mundurów, które niedawno wprowadzono reaktywując wojska podhalańskie. Że mundury „podhalańczyków" są rzeczywiście śliczne, przekonacie się już we wtorek...

Dla człowieka uczciwie pracującego każda niemal rocznica państwowa stanowi wydarzenie odświętne; do pracy nie idzie, glansuje elegancko buty, ubiera się jak Bóg i budżet pozwalają, bierze dziewczynę pod rękę i pędzi na główne ulice, place, do parku.

Tego lipca mają łodzianie nie lada okazję do poświętowania sobie na całego. Reprezentacyjna defilada wojsk, wystawy sprzętu bojowego, popisy lotnicze, festyny, zabawy, występy wielu orkiestr, zespołów tanecznych, teatralnych, komików, cyrkowców, sportowców. Przemówień wyjątkowo mało, dużo natomiast muzyki. Oby tylko nasi niezawodni planiści nie pomylili się co do pogody, to i pokaz ogni sztucznych wypadnie okazale.

Obywatel naszego miasta, rozrywany przez stłoczone w jednym dniu rozrywki, których starczyłoby w normalnych dawkach bodaj na rok, nie znajdzie chyba czasu na jakieś poważniejsze, uogólniające refleksje, czy podsumowanie minionych czternastu lat, dzielących nas od pamiętnej chwili powstania i uchwalenia Manifestu Lipcowego. Owszem, dozna zapewne ciepłych i podniosłych uczuć na widok naszego świetnie uzbrojonego wojska. Żołnierz cieszy się w naszym kraju nie od dziś wielką sympatią, tyle tylko, że dziś rzadko defiluje. Wiadomo obniżka kosztów własnych. Obywatel naszego miasta z pewnością się wzruszy na widok zwartych szeregów i pomyśli, że nie jesteśmy ostatni na świecie, ani sami, jak podczas tragicznego września. Pomyśli, być może i o tym, że po ciężkiej pracy, rzeczywiście warto się rozerwać, zabawić. Spacerując ulicami Łodzi, spojrzy na nowe dzielnice, pochwali to i owo, zauważy, że nowych domów wciąż jeszcze mało, ale to będą wrażenia fragmentaryczne, nie obejmą całości kilkunastu burzliwych lat. Obowiązek podsumowania spada na publicystę, to on musi dokonać obrachunku.

No dobrze, ale jak? Czy według niemalże już klasycznego schematu — osiągnięcia (duże), niedociągnięcia (małe i przejściowe) oraz perspektywy (bardzo duże)? W takim wypadku należałoby raz jeszcze wypisać po stronie „ma" — rejestr nowych fabryk, osiedli, urządzeń socjalnych, zelektryfikowanych wsi, przypomnieć istotniejsze zmiany modelowe. Po stronie „winien" — odnotować błędy i wypaczenia, po stronie „chciałby mieć" — plany, pomysły, zamierzenia i odrobinę pobożnych życzeń, może jeszcze nierealnych ale ludzkich, jak marzenie o samochodzie dla robotnika.

Lecz czy tego rodzaju powtórka jest koniecznie potrzebna? Raczej niekoniecznie. Zbyt wiele w niej elementów stałych, powtarzających się jak pozytywka. Lepiej już poszukać specyficznych cech ostatniego roku, nietkniętych jeszcze piórem i słowem „podsumowywaczy", jeszcze nie poszufladkowanych i nie ułożonych w etapy.

Mamy za sobą rok bez fanfar, bez proroctw, nie rzucano z wysokich trybun obiecanek, minął rok wypełniony pracą, rok podobny na pierwszy rzut oka do poprzednich. Wielu ludziom trzeszczą nadwerężone budżety. Jedni drapią się z tego powodu w głowy, inni zabierają do pracy, jakąś część kradnie. Handel wciąż jeszcze płata figle, ale równocześnie wieś rzuca na rynek coraz więcej żywności, alkohol płynie nadal obficie, PAX zwalcza plagi narodowe przy pomocy farby drukarskiej, poznańscy księża grożą piekłem za przerywanie ciąży, wychodząc z założenia, że im gorzej na ziemi, tym lepiej poza... Już to wszystko skądś znamy... Sąsiad z suteryny przeniósł się do bloku, nauczyciel z pierwszego piętra czeka na podwyżkę, ktoś inny już ją dostał. Stare dzieje, prawda?

A jednak jest coś specyficznego, coś co odróżnia obecną rocznicę lipcową od poprzednich. Myślę o bezcennym kapitale, który właśnie teraz ujawnia swoją niezwykłą wartość, owocuje. Ofiarność na rzecz ojczyzny, społeczna inicjatywa, uczynność, rozwijająca się z dobra woli, bez „nakręcania", stanowią zawsze niezawodną miarę stosunku przeciętnego obywatela do państwa, miarę jego patriotyzmu. Przeszły przez kraj klęski powodzi, w naszym województwie szalały trąby powietrzne. Ludzkie nieszczęście poruszyło szerokie kręgi społeczne. Zbiórki pieniężne, odzieży, środków żywnościowych, odstępowanie mieszkań, samorzutne komitety — to może nawet nie najbardziej typowe, ale najbardziej za to wzruszające przejawy rosnącej energii społecznej.

Młodzież walczy o kwalifikacje, pragnie się skrzyknąć, powiązać organizacyjnie, próbuje tworzyć rozmaite zespoły produkcyjne. Młodzi pracują nad zagospodarowaniem Bieszczad, po całym kraju uwijają się wszędobylscy harcerze.

Od dawna nie obserwowaliśmy takiego rozmachu inicjatywy chłopskiej — przy budowie szkół, elektryfikacji, przy budowie dróg, urządzeń kulturalnych. Dzięki ofiarności społeczeństwa powstaje wielki Fundusz Grunwaldzki.

I ta właśnie ofiarność, nie kończący się łańcuch czynów obywatelskich, stanowią najbardziej chyba charakterystyczną cechę, towarzyszącą kolejnej rocznicy uchwalenia Manifestu Lipcowego, rocznicy wyzwolenia. W czasie rocznicowych zabaw warto przypomnieć starą prawdę, podkreśloną w czasie VIII Plenum — nie z samych dochodów państwa buduje się socjalizm, ale również i przy pomocy społeczeństwa, które chce poczynania partii i rządu czynnie wesprzeć.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

PIOTRKOWSKA

Ja niestety też nie wiem, co „Odgłosy" zrobiły z Chrystusem.

W sklepiku najbardziej idzie „Przekrój" i „Przyjaciółka", „Kulisów", „Ekranu" i „Filmu" za mało dają a jeszcze zmniejszają przydziały. Można tu gazety zaprenumerować — robią to osoby prywatne i takoż instytucje, Prezydium MRN, Centrala Ogrodnicza, Szkoła Głuchoniemych.

O 14,05 w miejscu po rusztowaniach przy neonie chłopiec zamiata chodnik pokojową szczotką do zamiatania podłogi. Strugam ołówek nad koszem do śmieci, podchodzi do mnie jakiś facet, żebym mu wyjął kawałek muchy z oka. — Cholerne miasto — mówi. — Co za kurz.

— Nie lubi pan Łodzi?

— Nie, skądże, lubię. Tylko ten kurz.

— Fabryczne miasto...

— Cóż zrobić. Bardzo panu dziękuję...

— O, nie ma za co.

Rozchodzimy się. O 14,15 z kina „Gdynia" wysypuje się po seansie „Króla Maciusia" czereda chłopaczków.

— Podobał się wam Maciuś? Kto bardziej — Maciuś, czy Felek?

RÓG

— Maciuś. Da się lubić, sympatyczny jest.

Pod PDT pojawia się nieuprawniona konkurencja dla kwiaciarki, milicjant odprawia ją grzecznie. Przychodzi druga zmiana milicyjna.

Na chodnikach nie ma już panów z teczkami; wracają na obiad młodzi ludzie, w ogóle jest ich teraz w moim polu widzenia coraz więcej.

14.40. Pierwszy raz przejeżdża polewaczka.

14.50. Milicyjny jeep wiezie jakiegoś delikwenta. Tu na rogu jest spokojnie, ale wczoraj na Więckowskiego w biały dzień chuligan pobił człowieka, obrabował, a na Żeromskiego drugi to i milicjanta poturbował.

15.00

Im bliżej trzeciej, tym ruch większy, publiczność ta sama, co przed siódmą, ósmą rano. U mężczyzn przewaga roboczych ubrań. Więcej młodzieży, tłok na chodnikach, w tramwajach, ludzie na stopniach, coraz to gwizdek milicjanta z kompanii ruchu zatrzymuje wagony. Tak będzie do 17.00.

O trzeciej znika zwrotniczy, we wzorcowym sklepie z kosmetykami kończy się przerwa obiadowa, pojawiają się klientki. 80% kobiet. Nawet kiedy weszło do sklepu małżeństwo, to szczoteczkę do zębów dla męża kupuje w jego imieniu żona.

Z wód kolońskich najpopularniejsza jest „Potrójna" Pulsa, „Piątka" i „Ballada". Sklep jest zresztą dobrze zaopatrzony, zależy od kierownika oczywiście, czy przywiezie dużo towaru z centrali. Kierownik ma 1540 zł za 100 proc. planu, a od każdego tysiąca złotych ponadplanowego obrotu — 9,50 zł premii. Niezbyt wiele.

Starszy wąsaty pan, kupując „Kwiat lotosu", wczuwa się w kobiecą atmosferę sklepu, kłóci się zażarcie o ilość. W Warszawie za tę cenę dostał więcej. On, oczywiście, dobrze pamięta, że było więcej. Za tę samą cenę.

Przed PDT typ z głupawą miną ogląda półpornograficzne pisemko niemieckie „Das Magazin". Kiedy zaczepiam go, chowa je za siebie. Pytam, skąd ma to cudo. Wykręca się — „A w Klubie Książki i Prasy"... Wekslujemy rozmowę na inne tory, pyta, czy w łódzkim „Ekspressie" nie potrzebują fotografa... bo on, prawda, z amatorstwa robi, te rzeczy... Bez błysku zrobił wszystkie „miss'y" łódzkie...

— Nie wiem, wie pan. Niech pan im pośle do oceny — doradzam. Podejrzewam, że dorabia sobie robieniem pornograficznych zdjęć.

Milicjant zatrzymuje studentkę. Udziela jej ustnego napomnienia za złe przejście ulicy. Jakiś przygodny obrońca kobiet wścibia mu przez ramię nos do notatnika. Milicjant:

— Czego pan chce?

— A bo muszę... Pan taką ładną panienkę spisuje...

— To nie pańska sprawa. Poza tym nie wypada zaglądać przez ramię.

— Kiedy ja muszę...

Milicjant irytuje się:

— Nic pan nie musi. Co pan musi... Nikt pana nie prosi o pomoc...

Obrońca kobiet odchodzi z nadętą miną. — „Pan jest źle wychowany panie władza"...

Na drugim rogu do starego milicjanta z z Krzyżem Grunwaldu podchodzi drugi, także w podeszłym wieku. Przyjacielska pogawędka. „Jak się masz. Byłem w Krynicy na kuracji. A ja leżałem dwa tygodnie, mam jechać do Cieplic, na zdrowotny, w sierpniu. Dawnośmy się nie widzieli, stary. W wojsku mieli podwyżkę, słyszałeś, przydałaby się i u nas. Jak w domu? W porządku, tylko my, starsi, coś nietęgo"...

15,10. Drugi raz przejeżdża polewaczka, potem wóz milicyjny, całą drogę trąbi.

15,45. Zapalili neon nad „Bielizną". Próbują, czy działa. Działa.

Po 16,00 wracają w tłumie do domu prawie wszyscy nasi znajomi z narożnych kamienic. I urzędnik — były kamienicznik, i murarz spod 97, któremu okno przecieka w czasie deszczu, i pogodny pan Pietruszka spod 100, i pan Kosiński, i pani Kram. Pani Kram zaraz po obiedzie bierze się do sprzątania mieszkania, państwo Kosińscy wybierają się na imieniny, do Cioci Pelagii.

16.30. Jakaś ręka zdejmuje kartonik „Przyjęcie towaru" z drzwi sklepu „Bielizna", drzwi się otwierają. Wchodzi pierwszy klient. Tutaj pierwszy jest, o dziwo, mężczyzna.

Każdy ma swoje rozrywki

Od 17.00 coraz więcej młodzieży. Co robić? Napić się w pijalni piwa, przejść się deptakiem.

— Co, pan myśli, że znowu z tymi dziwkami to tak łatwo? Nam demoralizacja nie grozi. Na demoralizację trzeba mieć pieniądze. Maturzyści. Kino drogie, rozrywek żadnych, nic do roboty, idziemy, ot tak, przed siebie. Co robić?

Na murze ręcznie atramentem wypisane na kartce ogłoszenie o zabawie tanecznej. Orkiestra doborowa. Zaprasza Komitet Organizacyjny. Po ile wstęp — nie piszą.

Starsi mają swoje rozrywki. Nad punktem sprzedaży losów loteryjnych wisi płachta z napisem — „300 000".

Obroty loterii mimo „totka" specjalnie nie spadły, loteria opiera się na stałych graczach. Ci co grają raz — rezygnują po miesiącu. Stali gracze mają swoje numery, rezerwują je, największego pecha miał pan grający od lat na nr 36073; w XV loterii w drugim rzucie nie wykupił losu, chorował, prosił kolegę, kolega zapomniał, a w tym ciągnieniu na nr 36073 padło 40 000 złotych...

Grają przeważnie ludzie starsi, inteligenci i robotnicy. Emerytowany włókniarz, pani, która opiekuje się już tylko dziećmi córki, dobrze ubrana, pogodna. „Ot, taka rozrywka na starość. Wygrywałam stale stawkę, potem raz 1000 złotych (miałam pół losu), a teraz 2 lata nic, nawet stawki"...

Pani Krystyna pracuje w punkcie od 1949 roku, zna wszystkich, sama nie gra, ale grała swego czasu, wygrała raz 200 zł i potem parę razy stawkę.

Na ścianach napisy — „Grającym szczęście sprzyja", „Los i szczęście idą w parze" i słoń rozrzucający trąbą losy. Na plakacie oczywiście; patrzę, myślę — dlaczego słoń? Dlaczego właśnie słoń?

Koło 17.00 urzędnik — były kamienicznik idzie wykąpać się do łaźni. Na poddaszu jest tylko gaz, a i on go dopiero założył, bo był tu dawniej warsztat szewski. Państwo Borowczykowie wychodzą z dziećmi na spacer. Murarz spod 97 — ze spodniami do krawca. Po-

ANDRZEJA

tem ma jeszcze odebrać kostium żony. Państwo Kosińscy już poszli na imieniny; do córeczki, starszej, przyszły bawić się koleżanki.

Kwadrans po szóstej do państwa Pietruszków zachodzi kuzyn. Posiedzi tu do siódmej, o siódmej ma randkę na przystanku. Małżeństwo Pietruszków interesuje się fotografią, mieli dziś wywoływać filmy, ale nie mają wywoływacza, więc będą oglądać zdjęcia.

Kasjerkę kina „Wisła" chwyciły bóle żołądka, na jej miejscu siada koleżanka. Kasjerka już przedtem chorowała, to jakieś nawroty. Portier szuka jakichś kropli.

Generał i marynarz

Przed siódmą jechał autem generał. Minutę później jadący na stopniu marynarz odszczekuje się milicjantowi. Kiedy jest już daleko, złazi znowu na stopień i szczerzy zęby. Milicjant mówi — „Żeby minutę wcześniej, to by z paki nie wylazł"...

Ruch maleje, na chodniku zaczyna się wieczorna promenada. O 19.00 w ogródku restauracji „Tivoli" rżnie już orkiestra, słychać ją wewnątrz kina „Wisła", słychać ją przez otwarte okno w mieszkaniu państwa Pietruszków. Pan Pietruszka śmieje się — „Codziennie darmo koncert. Czasem ryczą pijacy, ale niekiedy przychodzą śpiewacy z operetki, wtedy przyjemnie ich posłuchać. Nawet nie wiedzą, komu śpiewają"...

W „Tivoli" hasanie trwa do drugiej w nocy, na poddaszu pod 100 często nie można zasnąć. To jest druga strona medalu bezpłatnych koncertów dla pana Pietruszki, pogodnego młodego człowieka, któremu szkoda czasu na martwienie się.

Zamykamy

Między 19.00 a 20.00 zamyka się wszystko poza apteką i kawiarenką „Łowicka" (nad którą nie wisi żaden szyld.) Zamyka się PDT, punkt sprzedaży losów loteryjnych, „Uroda i Zdrowie", „Bielizna" — wcześniej, już o 18.00. Pracuje tylko nadal gruby krawiec pan Herszhorn na drugim piętrze Piotrkowskiej 100. Ale, jak mówiłem, jego godziny pracy zależą tylko od niego.

Od 19.00, choć widno, pali się neon na „Bieliźnie". Ten motylek.

O 20.00 zwija swój interes kwiaciarka, lodziarka natomiast jeszcze nie sprzedała całej bańki. Będzie siedzieć do dziewiątej. „Pingwiniarze" już odeszli.

O 21.00 wracają z wizyty państwo Kosińscy, zaczyna się ostatni seans w „Wiśle", odjeżdżają oba wózki z saturatorami, żegnam się z milicjantami, posterunek zostaje ściągnięty.

Ruch coraz mniejszy, po wpół do dziesiątej ściemnia się, koło dziesiątej gasną wszędzie światła, patrol nocny wyłącza światła regulujące ruch, wychodzą widzowie z ostatniego seansu „Króla Maciusia" w kinie „Gdynia".

O 23,00 pali się jeszcze u krawca Herszhorna i u pani Kram. Jarzy się neon na „Bieliźnie" i oświetlone wystawy; pusto jest i ciemno, jeszcze falanga ludzi wyjdzie z „Szatana zazdrości" o 23.00, pracownicy kina opuszczą je w parę chwil później i na rogu zostanie tylko strażnik PDT, mijany przez szukających szczęścia młodszych i starszych panów. Przechodzą koło wpół do dwunastej dwie panie, co do których mam podstawy przypuszczać, że nie zwykły kochać darmo.

Zaczyna się noc na ulicy Piotrkowskiej...

Kanał?

... No cóż, nie wątpię, kochani, że wszystko, co tamten facet napisał, jest prawdą. Że są k..wy, pederaści w knajpach przy ulicy Piotrkowskiej, hochsztaplerzy, kombinatorzy, alfonsi i co chcieć jeszcze. Nocne życie, emocje „ładowanych" starszych panów. Tylko że tacy mali zwykli faceci, jak ja, nie lubią się podniecać i lubią wszystko, co jest, widzieć tak, jak jest. Tamten facet napisał o k..wach bardzo piękny reportaż. No i dobrze. Ale żeby zaraz – kanał? No nie?

Przestałem te swoje 20 godzin na rogu ulicy, zmieniłem jedną literę. Banał.

STEFAN BRATKOWSKI

Nasza szkółka

WOLNY TEMAT

W nagrodę za dobre sprawowanie PT Uczniów „Naszej Szkółki" tudzież z powodu święta i wakacji, a także z braku lepszej sprawy Belfer zarządza na dzień dzisiejszy nieco rozrywki. Żeby rozrywka była rzeczywista, a więc pobudzająca do wesołości, śmiać się będziemy z cudzego kalectwa. Dla tych, co nie są skłonni do takiego śmiechu, lekcja jest, oczywiście, nadobowiązkowa. Otwarta zaś dla wszystkich, co śmiech uznają za odtrutkę na idiotyzm.

Pomoce szkolne dziś bezpłatne. Właściwie jedna pomoc, którą Wam Belfer za dwa złote zafundował. Ta pomoc zaś nazywa się „Współczesność". (Belfer ma w związku z tym poczucie spełnionego aktu charytatywnego, bowiem tym razem dzięki niemu niecały nakład tego zapoznanego a cudacznego dwutygodniczka pójdzie na przemiał i makulaturę). Oważ „Współczesność" to jest wprost wymarzony w kanikule, wolny temat.

Uczyć się dziś będziemy, o Uczniowie, pisania, a ściślej — pisywania reportażu. Metodą całkiem prostą. Będzie się pisać — przepisując. Przepisywanie przecież to nie kradzież. W branży pismaczej za takie rzeczy nie sadzają. Spytajcie zresztą o to młodzieniaszka, co się rozbrychtał przez wsze strony „Współczesności". A zatem ku uciesze i nauce

PRZEPISEK Nr 1

Panie Nowak, że jak się kończy Piotrkowska, to się ma zacząć Warszawa, bo inaczj to pustynna śmierć... Tak pan, panie Nowak mówi? A kto pan właściwie jest? Aha, taki zwykły, kulturalny Nowak. Dobrze, chodźmy w miasto. Bo wie pan, Łódź, to i ścieki, smród na ulicach, ohydne zrujnowane rudery, kocie łby, mieszkania bez łazienek, bez ustępów, bez gazu, ale i różni ludzie o tym piszący, ludzie pod pewnym względem bardzo nowocześnie wykrzywieni, z określoną biografią, z kompleksami, niekiedy zdolni, ale bez głowy lub też bez któreję klepki.

Przejdźmy sobie, panie Nowak, Piotrkowską. Dochodzimy do „Egzotycznej". Miłe rozczarowanie. Po remoncie, i ludzie jacyś inni, jakby też po remoncie. Dawniej siadywał tu poeta, który jednakże potem znikł. Podobno wzięli go do wojska, a z wojska do szpitala dla wariatów. Podobno dziś pisuje reportaże.

Któż to wspomina panie Nowak z rozrzewnieniem dawną „Egzotyczną"? Kto obwieszcza światu, że w „Egzotycznej" siedział taki Staś i sprzedawał recepty z pieczątką lekarza? Po pięć złotych nieraz. Albo za ćwiartkę. Mówi pan, panie Nowak, co to pana obchodzi, bo pan jak zachorujesz to idziesz do lekarza i dostajesz receptę za darmo. Nie każdy, panie Nowak, zwykł tak postępować. Znam takich, co symulują chorobę, więc muszą kupować świadectwa i recepty, a potem symulują wściekłość, społeczne zaangażowanie i piszą reportaże, a w nich bełkocą, że fluidy fosforalne napiętego oczekiwania na rozrywkowego godota emanują ze spojrzeń ludzi, bo z racji tej, że dzień wyjątkowy jak nigdy, spojrzenia ich docierają tam, gdzie chyba jednak nie dotrą...

Znam takich, co z powodu powikłań wieku dojrzewania płciowego popełnili niejedno życiowe głupstwo. Stąd, panie Nowak, jeśli słuchać mistrza Freuda i jego nauk o powszechnym tokowaniu, faceci są wściekli. Załóżmy, panie Nowak, że taki facet włada jako tako piórem, to wie pan co się dzieje? To taki facet wpada w literacką pozę na wściekłość i wali takie oto efekciarskie zdanka: Zapakowałbym temu dużemu hak z prawej, w wywalony bebech, lewy sierp na pysk i pod flek. *Stąd chyba, panie Nowak, bierze się indywidualna schizofrenia powodująca, że osobnik chorobą tą dotknięty zamiast przyjmować wstrząsy insulinowe majaczy o społecznej schizofrenii, o dwóch miastach Łodzi i Piotrkowskiej, z których drugie jest żarłocznym ściekiem pierwszego.*

To nie usprawiedliwienie, że jeden poeta jest Szmatławczyk z pretensją na Hłaskę. To nie jego wina, że publikuje apokaliptyczną wizję Łodzi jako tarła, kanału przestępców i prostytutek, a przy tym się zastrzega tak naiwnie, według tak ogranego chwytu „... a poza tym są uczciwi". Nie wiem, czyja to wina, że taki pętak wałęsa się jak hiszpański matador wte i wefte od PAX-u do „Ruchu" i z powrotem.

Ja, panie Nowak, pana nie napuszczam, żeby takiego faceta pomacać kijem po rzyci, ja tylko chciałbym, panie Nowek, żeby pan wiedział, iż taki facet opisuje świat na podobieństwo własne. Że u takiego monstrualny opis miasta wynika nie skądinąd jak tylko z jego braków i kompleksów. Że każde pismo ma takiego reportera, na jakiego zasługuje.

PRZEPISEK Nr 2

Mówi pan, panie Nowak, że z restauracji „Artystycznej" milicja wyprowadziła pijaków, którzy zaraz narzygali przed wejściem? Był tam gogusiowaty lowelasik z bujną czupryną w niebieskim garniturku? Mówi pan — był?...

Chodź pan, pokażę panu pismo, jakie nadeszło do „Odgłosów". Z Wydziału Karno - Administracyjnego. To nieprzyjemna sprawa, ale cóż, pokażę panu. Nakaz potrącenia zł 500 z pensji obywatela W. Grzywna za opilstwo i zakłócenie spokoju publicznego. Ob. W. to ten poeta, biedny, wyrzucony z pracy. Wierzy pan, panie Nowak, że dziś można kogoś ot tak wyrzucić z pracy? Zanim go wyrzucili był ten poeta W. pupilkiem kilku ważnych osób. Chodź pan na al. Kościuszki, świetną, „tramwajową arterię", po której w minutowych odstępach ciągną wagony szybsze niż w Warszawie. Pokażę panu nowe mieszkanie, które otrzymał poeta W. Powiadam panu, panie Nowak, że ów poeta W. od blisko roku nie zbrudził rąk konkretną pracą i za to go wyrzucili. Wierz, mi pan, panie Nowak, że ludzi, którzy to zrobili nie obchodziły protokoły milicyjne, ani tym bardziej osobiste nieprzyjaźnie poety W. Szkoda poety W. On jednak „figurujący w spisach ludności i świadków podejrzanych, uczestniczący w małych prywatnych burdelach" niepowtarzalnie i jedynie pisze o tych rzeczach.

Uważaj pan, panie Nowak, spotykam Jurka Lumpa. To kumpel poety B. i poety W. Już nam zniknęli. Ale nie śpieszmy się. Znajdziemy ich w królestwie małym, a pakownym. Na tej przestrzeni 200 m kwadratowych, w obrębie ulic: Moniuszki, Hotelowej, Traugutta i Piotrkowskiej. W jednej z kawiarni lub raczej w którejś restauracji kategorii S. Siedzą tam pewnie teraz. Radzą jak i za ile rąbnąć wściekły paszkwil na pańskie, panie Nowak, miasto.

Tu, panie Nowak, rozejdźmy się. Idź pan do domu, ciesz się małżonką, dziećmi, oddychaj powietrzem, spotykaj pan normalnych ludzi. Czyli ciesz się pan Łodzią. Tylko o jednym pamiętaj — unikaj pan jak ognia poetów B. i W. I pamiętaj — nie kupuj pan nigdy pisma, w którym drukują poeci B. i W. A jak kupisz to pismo, to tylko na pakunek lub podpałkę. Za nic do niego nie zaglądaj. Gdybyś jednak zrobił to głupstwo — to nie przejmuj się reportażem pt. „Piotrkowska".

KICHAJMY!

I wam to (ad nie kupuj tego pisma) radzę, o Uczniowie, „Naszej Szkółki". Albowiem z dzisiejszej nadobowiązkowej lekcji wynika nauka:

CZASAMI LEPIEJ
NIE CZYTAĆ WCALE

Albo też jeśli ktoś ma nałóg czytania, przy zbożnej tej czynności proszę kichać, kichać usilnie, długo, serdecznie, na całego.

Czytasz na przykład wielki dylemat: *kto skieruje tę masę ludzkiej elektryczności w koryto inne niż to kamienne Piotrkowskiej? Kto da tym ludziom rozrywkę itd.*".

A psik!

Czytasz, że „*tokuje się na całym świecie i takie nasze młodości prawo*", że „*Piotrkowska wieczorna to ulica młodych*".

A psik! A psik!

Kichanie bowiem nie oznacza tu jedynie stosunku do poetów B. i W. i wypisywanych przez nich... treści, lecz daje czas na tak zwane myślenie, że coś tu z logiką jest nie tego... Bo albo „skierować tę masę ludzką elektryczności w inne koryto", albo uznać, że „Piotrkowska to ulica młodych".

Czytasz, że na „*rzyci społeczeństwa ropieje cholerny, waluciarsko - złodziejsko - kurewski wrzód*".

A psik, a psik, a psik!

Bowiem nic tak dobrze jak kichanie nie oczyszcza organizmu z tak zwanym — nawet zdefektowanym przez kompleksy — intelektem łącznie. I nic tak dobrze jak kichanie nie porusza główki, wpatrzonej tylko w rzyć i w chuć.

A psik!

BELFER

ZBIGNIEW NOWICKI

TAJEMNICE GROBÓW I KURHANÓW

Rozdział I

— Magiczny krąg. — Cmentarzysko. — Jęk. — „Kusk za zymno". Kultura Słowian czy „Wandiliów" lub Bastarnów?. — Ostgermanen i Ostdeutschland.

...Przyjechałem tam wieczorem. I może dlatego tak od razu przeniknął mnie ów przedziwny i trochę niesamowity nastrój starego cmentarzyska. Odtąd prawie przez dwa tygodnie towarzyszył mi on na stoku wzgórza nad jeziorem. Długie — pośród ogromnych, kamiennych „kręgów magicznych", grobów pokrytych kamiennym nasypem, resztek szkieletów ludzkich przyozdobionych w bransolety i naszyjniki.

Przygotowano dla mnie malutki namiocik o kilka kroków od jeziora, na samym skraju niewielkiego obozowiska łódzkich archeologów. Gdy próbowałem zasnąć jak liszka wciśnięty w miękki kokon śpiwora — zbudziło mnie jak gdyby sapanie ogromnego miechu na jeziorze. Potem usłyszałem długi, przeciągły jęk od strony kurhanów. Ktoś krzyknął groźnie. Nastała cisza, kołysana jednostajnym pluskiem fal jeziora. Zasnąłem twardo, bez snów. Przydał mi się ten pokrzepiający wypoczynek przed dniami wypełnionymi cierpliwym deptaniem pięt wymykającej się wciąż tajemnicy.

...Dwie godziny wcześniej siedziałem w sopockiej kawiarni zdobnej w nowoczesne taszystowskie malunki. Autobus Gdańsk — Kartuzy — Bytów przeniósł mnie nagle jakby do zupełnie innej krainy. Jadący wraz ze mną ludzie rozmawiali w języku, który zdawał mi się być znajomy i bliski jak moja własna mowa, a przecież z początku trudno mi było zrozumieć choćby jedno słowo. Potrzebowałem pewnego czasu, aby nawyknąć do kaszubskiego dialektu i wiedzieć, że „tysek" to pies, „wągle" — to węgle, „gork" — garnek, „checz" — chata, „skorupczi" — skorupy, „syczira" — to siekiera, „reczi" — to raki, a „kusk za zymno" — znaczy „trochę za zimno"...

Na stoku wzgórza porośniętego lasem znajdują się nieduże kamienne pagórki, niekiedy zakończone podługowatym głazem. To kurhany kryjące zagadki i tajemnice — szkielety z pięknymi ozdobami z brązu. Kurhany te rozkopuje i bada ekspedycja archeologiczna Uniwersytetu Łódzkiego.

Kurhan został odkopany. Ukazały się dwie jamy grobowe. Trzeba narysować ich dokładny kształt, zanim przystąpi się do ich „eksplorowania", ostrożnego wydobywania zawartości poszczególnych grobów.

Archeologów wyobrażamy sobie zazwyczaj jako roztargnionych, zdziwaczałych naukowców grzebiących się w dawno zamierzchłych czasach. To wyobrażenie nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Spójrzcie zresztą na zdjęcie: oto studentka Zakładu Archeologii, młoda i ładna dziewczyna.

Archeologia kojarzy się wielu ludziom z kopaniem, ze zwałami wydobytej i przerzuconej ziemi. A przecież więcej niż kopania jest chyba w pracy archeologa... rysowania i misternego dłubania. Każdy kamyczek na kurhanie musi być dokładnie oczyszczony pędzelkiem i narysowany, a to praca żmudna. Mozoli się właśnie przy „pędzlowaniu" A. Dmochowski, student Zakładu Archeologii UŁ.

Już od Kartuz szosa mknie zakrętami po stromiznach wzgórz, widać całe piękno „Szwajcarii Kaszubskiej" — pagórki pokryte lasem lub wrzosowiskiem, w dole zaś kręte i długie jeziora związane niekiedy wąskimi przesmykami. Ziemia tu uboga, piasek, żwir i kamień. Duże połacie pól „odpoczywających", widomy ślad trójpolówki. Trzeba mieć dużo tej jałowej ziemi, aby móc jako tako z niej wyżyć, gospodarować. Częściej niż duże wsie tak charakterystyczne np. dla naszego łowickiego — spotyka się tu małe sadyby złożone z dwóch lub trzech zagród. Ludzie żyją w odosobnieniu, nieustannie walcząc z nieżyczliwą przyrodą. Wydają się uczciwsi, szczersi, lepsi i szlachetniejsi niż w innych, znanych mi dzielnicach Polski.

Odmienny krajobraz, odmienny dialekt. Mimo szos i kolei żelaznych łączących wschodnie Pomorze z resztą Polski — widać tu wyraźnie odrębność tego regionu, jego własny koloryt i własny styl. Miało Pomorze ten styl własny i przed setkami lat; to on podniecał zaborcze apetyty szowinistów niemieckich, i — nie łudźmy się — podnieca je wciąż tak samo silnie.

Oto najwspanialsza chwila w życiu każdego archeologa. Ta chwila — a przeżył ją i autor niniejszego reportażu — opłaca sowicie wszystkie trudy. W jamie grobowej, między szczątkami kości kobiety pochowanej tu przed 1800 laty znalazła się piękna bransoletka z brązu. Jakiż wąski przegub ręki miała owa zmarła okryta kurhanem...

Dokończenie na STR. 6

TAJEMNICE GROBÓW I KURHANÓW

(Ciąg dalszy ze str. 5)

Archeolodzy wyróżniają już w V okresie epoki brązowej, a więc na 900—700 lat przed naszą erą odrębny rozwój „grupy kaszubskiej" kultury łużyckiej, uznawanej ogólnie za prasłowiańską. Potem, w ciągu wczesnego okresu żelaznego (w tzw. okresie halsztackim), a więc 700—400 lat przed Chr. „grupa kaszubska" wyodrębnia się do tego stopnia, że otrzymują nazwę „kultury pomorskiej", która zachowując swe zasadnicze podobieństwo do rdzennej macierzystej kultury łużyckiej, ma jednak swe własne indywidualne piętno. Ciekawą cechą wyróżniającą tę kulturę są między innymi tzw. „urny twarzowe", urny z wyobrażonym naturalistycznie lub schematycznie portretem nieboszczyka. Pod koniec okresu halsztackiego archeolodzy zauważają silną ekspansję „kultury pomorskiej", zalewającej Wielkopolskę, północny skrawek Dolnego Śląska, Kujawy, Ziemię Chełmińską oraz część Mazowsza. Trudno jednak dziś wyraźnie powiedzieć czy mamy w tym wypadku do czynienia z ekspansją idei, mody i stylu pomorskiego, czy też z najazdem mieszkańców Pomorza na sąsiednie plemiona prasłowiańskie.

Szowinistyczni niemieccy uczeni w ślad za ich czołowym teoretykiem Kossinną — przypisują „kulturę pomorską" nie Słowianom, lecz bliżej nieokreślonym germańskim „Wandiliom", dostrzegają w ekspansji tej kultury na dalsze ziemie słowiańskie zwycięski najazd Germanów. Inni uczeni niemieccy — idąc za zdaniem Niederlego — skłonni byli identyfikować „kulturę pomorską" z Bastarnami. Trzeba było kapitalnych odkryć i polemik „ojca" polskiej archeologii — prof. Józefa Kostrzewskiego, a także łódzkiego archeologa, prof. Konrada Jażdżewskiego, aby obalić teorie niemieckie, wykazać słowiański charakter „kultury pomorskiej".

O, to nie błaha sprawa, czy na Pomorzu mieszkali Ostgermanie czy też słowiańscy Wenedzi. Nie na próżno Hitler tyle pieniędzy łożył na badania archeologiczne, na przepiękne archeologiczne wydawnictwa. Za teorią o Ostgermanach na Pomorzu wkroczyły czołgi najeźdźców niemieckich w hitlerowskich mundurach, mapy archeologów zaznaczające na Pomorzu tereny zamieszkałe przez Ostgermanów posłużyły do nowych map, na których napisano „Ostdeutschland", zaś ludność kaszubską hurtem uznano za Niemców. I dziś jeszcze nie wolno lekceważyć tej sprawy, skoro w 1953 roku w poważnym zachodnioniemieckim czasopiśmie „Saeculum", uczony Ernst Schwarz pisząc o pobycie drużyn gockich nad dolną Wisłą ani razu nie wspomina o Słowianach, używa ciągle terminu „Ostdeutschland" i „niemieckie wybrzeże Bałtyku".

„Kością niezgody", jak już wspomniałem, jest odrębność, lokalny koloryt kultury pomorskiej. Pomorzan dzieliły od reszty ich pobratymców potężne bagna warciańsko-noteckie oraz puszcza tucholska. Ta bariera powodowała wyodrębnianie się Pomorza z kręgu kulturowego zwanego łużyckim. Dzieliły bagna i puszcze, ale łączyły szlaki komunikacyjne, jakimi były rzeki Wisła i Odra. Z drugiej jednak strony — obecność morza, które nie było przeszkodą komunikacyjną, lecz przeciwnie — doskonałą drogą, „pontus", jak pisali starożytni — ułatwiała Pomorzu kontakty ze Skandynawią i podawała je pod wpływy wysoko rozwiniętego przemysłu metalowego germańskiego, a raczej nordyjskiego.

Te wszystkie czynniki zadecydowały, że powstała na Pomorzu specyficzna kultura, słowiańska, lecz nosząca w sobie elementy nordyjskie.

Wpływy germańskie na Pomorze istniały i w wiekach późniejszych. Niemcy tępili wśród Kaszubów wszystko co słowiańskie, co polskie. Kaszub mówi dziś nie „tak", lecz „jo" — niem. „ja". Ale jakże podobnie brzmią choćby słowa roty w kaszubskim dialekcie:

„Nie bandzie Niemiec plul nam w gąbę",.

Rozdział II

Łódź ciągnie ku wodzie. — Zagadka kamiennych kręgów. — Niefortunne badania dr Lissauera. — Astronomiczna teoria mierniczego Stephana.

Żartując można by rzec: pozbawioną wody Łódź, nasz zadymiony kominogród — ciągnie ku wodzie. Łódzcy naukowcy od kilku lat prowadzą Stację Archeologiczną w Gdańsku, Rada Narodowa m. Łodzi próbuje przyłączyć do Łodzi Słupsk, mgr Jerzy Kmieciński, adiunkt Zakładu Archeologii Polski Uniwersytetu Łódzkiego, rokrocznie od trzech lat organizuje ekspedycję badawczą do Węsior w pow. Kartuzy na Pomorzu Wschodnim. Łódź ciągnie ku wodzie.

...Na dość stromym wzniesieniu morenowym, w sosnowym lasku obok jeziora Długie — rozpościera się cmentarzysko pełne zagadek i tajemnic. W lasku na wzgórzu — uderza w oczy widok sporych, regularnych kopców z kamienia obsypanego ziemią, z dużym, podłużnym głazem, tzw. stelą, na szczycie. To kurhany, kamienne grobowce.

W pobliżu kurhanów — „kręgi kamienne". Na obwodzie koła o średnicy 14—20 metrów, ustawione są co 2,5—3 m głazy kamienne wysokie na metr albo półtora, podłużne i zwężające się ku górze. Pośrodku kręgu stoi jeden, a czasem trzy kamienie, stele; stela środkowa jest zawsze większa niż pozostałe.

O, umieją one strzec swej zagadki. Zabawnego figla wyplatały kręgi w Odrach, w pow. Chojnice w woj. bydgoskim — gdańskiemu archeologowi, dr Lissauerowi, który w 1874 roku spróbował posiąść ich tajemnice.

Zaintrygowany zagadką dr Lissauer zabrał się do rozkopania części środkowej szeregu kręgów, przy czym — jak zaznacza prof. Kostrzewski — nie obeszło się bez przewrócenia wielkiej części kamieni tworzących kręgi. Lissauer odkrył jamy grobowo-popielnicowe z kośćmi spalonymi. Jedna z popielnic zdobiona była głęboko rytymi kreskami, obok innej słabo wypalonej urny leżał podobno niewykończony grocik kamienny. Na fakcie znalezienia tego grocika oraz kilku innych zabytków z epoki kamienia, ale znalezionych już poza kręgami — oparł Lissauer przypuszczenie, że kręgi kamienne w Odrach pochodzą z młodszej epoki kamiennej, a więc 2 500 — 1 700 lat przed naszą erą.

I określenie to przyjęli bezkrytycznie wszyscy następni badacze od Hierschfelda aż do Kossinny i polskiego uczonego, Kozłowskiego.

W 1926 roku prof. Kostrzewski zbadał dokładnie kręgi kamienne w Odrach i jak pisze: „W poszukiwaniach naszych nie znaleźliśmy najmniejszego śladu zabytków z epoki kamiennej, natomiast bardzo liczne i częściowo bardzo piękne wykopaliska z okresu rzymskiego, a więc z 0—375 r. naszej ery".

2 500 lat przed n. e., czy powiedzmy 150 lat n. e. — przyznajecie chyba, że to znowu nie taka mała różnica?

Ale na błędnej hipotezie oparł w 1914 r. swą „teorię astronomiczną" miernik rządowy p. Stephan z Poznania. Uznał on kręgi kamienne za zabytki o charakterze astronomicznym, wnioskując ze swego spostrzeżenia, że linie łączące kamienie środkowe kilku kół dają w przedłużeniu punkty na horyzoncie, w których wschodzi słońce w najkrótszym i najdłuższym dniu w roku (22 czerwca i 21 grudnia). Oddzielne kręgi uważał Stephan za rodzaj kalendarza prehistorycznego. Kombinacje Stephana zakładały zresztą dość skomplikowane obliczenia astronomiczne, które możliwe były np. w ówczesnym, kulturalnym Egipcie, gdzie wiedza o gwiazdach i ich ruchu była bardzo daleko posunięta — ale zupełnie obca prymitywnym ludom zamieszkującym Pomorze w epoce kamiennej.

Znamy już czas, w którym zbudowano kręgi kamienne. Powstały one w okresie tzw. rzymskim, w latach 0—375 n. ery. Któż jednak był ich budowniczym? Do jakich celów służyły?

Na 100 lat przed n. e. rozwija się w naszej praojczyźnie „kultura grobów jamowych", będąca jakby pewnego rodzaju kontynuacją poprzedniej słowiańskiej kultury łużyckiej. W ramach „kultury grobów jamowych" na Pomorzu istnieje „grupa oksywska" tej kultury, posiadająca znowu swe lokalne, indywidualne piętno. Ludowi tej kultury i grupy nie znany jest jednak zwyczaj budowania kręgów kamiennych i kurhanów ze stelami. Nie wśród ówczesnych Pomorzan należy więc szukać twórców cmentarzyska w Węsiorach. Lecz gdzie?...

Rozdział III

Wewnątrz tajemniczego kręgu. — Szkielet na dnie kurhanu. — Kto cenił kobiety? — I znowu jęk...

Rozpoczęto w Węsiorach rozkopywanie kręgu kamiennego. Wewnątrz znaleziono dwie głębokie jamy symetrycznie rozmieszczone na średnicy koła; ziemia w nich była ciemnobrunatna, przepalona. Na całej wewnętrznej przestrzeni kręgu odkryto rozsiane gęsto drobne ułamki ceramiki, naczyń z II wieku n. e. Czyżby więc w owych kręgach odbywały się jakieś uroczystości? Zdają się o tym świadczyć ślady palonych ognisk i owe połamane naczynia (rozbijanie naczyń to bowiem często wyraz obrzędów religijnych).

...Zaczęto badać kurhan, dość duży, bo posiadający około 6 metrów średnicy. Pod warstwą ziemi ukazał się bruk kamienny, u podstawy zaznaczony kołem obwodowym z niedużych, 20-centymetrowych kamieni. Pod brukiem na głębokości 189 cm uwidocznił się zarys jamy grobowej. Ostrożnie, malutkimi szufelkami odrzucano ziemię z jamy... Wreszcie zobaczyliśmy szkielet słabo zachowany, tylko z wyraźniejszymi śladami kości długich nóg. W szczątkach substancji organicznej, prawdopodobnie resztkach tkaniny i kości — ozdoby kobiece. Ten wspaniały kurhan wzniesiony więc został nad zwłokami kobiety.

...Oto szpila wpięta ongiś we włosy. Na wysokości piersi trzy brązowe fibule czyli agrafy; dwie z nich rozmieszczone na ramionach kobiety przytrzymywały sznur naszyjnika, na który nanizane były dwa paciorki z krwawnika i piękny wisiorek srebrny z filigranem i granulacją. Trzecia fibula spinała szatę pośrodku piersi. Na palcu lewej ręki znajdował się pierścień z brązu z opaską srebrną. Na prawym przedramieniu tkwiły bransolety brązowe ze sztabki ośmiokątnej, z nieco zgrubiałymi końcami. W talii obejmował kobietę pas, z którego pozostała duża, żelazna sprzączka oraz zwisający nożyk umieszczony na jej lewym boku.

... W odkrytych dotąd w Węsiorach grobach męskich zauważono bardzo skąpe wyposażenie. Tylko groby kobiece są tu z reguły bogate w różnego rodzaju ozdoby. Jakiż to lud nad brzegami Bałtyku tak bardzo cenił kobiety, że groby ich wyposażał bogaciej niż mężczyzn, nad mogiłami kobiet sypał wspaniałe wielkie kurhany kamienne?

* * *

W nocy znowu usłyszałem groźny jęk od strony kurhanów. Nad ranem, poprzez cienką ścianę płótna namiotu, dobiegło mnie od strony jeziora jakby sapanie ogromnego miechu. Oto jeszcze jedna zagadka węsiorskiego cmentarzyska.

(D. c. w następnym numerze)

ZBIGNIEW NOWICKI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

O SKUTECZNYCH SPOSOBACH NA MIŁOŚĆ

Miłości! Nad naszymi pokaż
litość jęki,
A że będąc człowiekiem więzy
twoje noszę,
Spraw twe bóle tak krótkie jak
są twe rozkosze,
Lub rozkosze tak długie jak są
twoje męki

— pisał poeta wieku Oświecenia, znakomity wersyfikator Stanisław Trembecki, dworzanin królewski, a na starość rezydent magnacki na łaskawym chlebie u Czartoryskich i Potockich.

Na „męki" miłosne czyli brak wzajemności uczuć stosowali ludzie XVII i XVIII wieku różne magiczne sposoby w postaci czarów i ziół. Tajemnicze zioła, zwane lubczykami, miały przyprawiać o szaleństwo miłosne tę drugą osobę (jego lub ją), która nie odwzajemniała gorących uczuć zakochanej lub zakochanego. Sama nazwa tych ziół mówi o ich przeznaczeniu: *„Nasiężrzał"*, *„Pódźzamną"*, *„Przerywziolo"*, które miało posiadać moc rozrywania zamków u drzwi do sypialni ukochanej.

Niektóre zioła trzeba było zrywać o północy w stroju adamowym, gdyż jeśli zrywało się je za dnia lub w ubraniu, wówczas traciły moc działania czarów. Słynny długi korzeń Mandragory (który należało utrzeć na proszek i naparzyć odwar) miał ponoć przy wyciąganiu go z ziemi piszczeć ludzkim głosem.

Syrenius, autor „Zielnika" z 1613 roku opisuje zielę dzięgielnicę zwane też *„lubszczą" — od lubości, którą niewiasty za używaniem korzenia jego mają do mężczyzny. Zowią go też pożądną, od żądze tychże do swych mężów"*.

Wierzono jednak nie tylko w zioła. Włos z głowy ukochanego, odpowiednie zaklęcia, kąpiel przed wschodem słońca, wszystko to miało przywracać i wzniecać w drugiej osobie utraconą miłość.

Praktyki te szły w parze z niezwykłą, wyjątkową w porównaniu z innymi narodami europejskimi wstydliwością siedemnastowiecznych Polaków w „tych rzeczach".

Szlachcic towarzyszący królowi Władysławowi IV w podróży zagranicznej do kąpielisk niemieckich opisywał, że Niemki biorą kąpiele lecznicze razem z mężczyznami, a przyodziane są wtedy tylko w cienkie płótna, *„czemby się nasze święcice* (świętoszki, uw. moja) *gorszyły, ale to tam ujdzie"*.

Słynny pamiętnikarz z czasów „Potopu" Imć Jan Chryzostom Pasek pisze w związku z pobytem w Danii tak interesująco o niewstydliwości Dunek, a wstydliwości Polek, że warto przy okazji przypomnieć parę zdań z jego Pamiętnika: *„W afektach zaś nie są tak powściągliwe jako Polki, bo lubo zrazu jakąś niezwyczajną pokazują wstydliwość, ale zaś za jednym posiedzeniem i przymówieniem kilku słów zapamiętale zakochają się i pokryć tego ani umieją: ojca i matki, posagu bogatego gotowiusieńka odstąpić i jechać za tym, w kim się zakocha, choćby na kraj świata. Łóżka do sipienia mają w ścianach zasuwane tak jako szafa, a pościeli tam okrutnie siła ścielą. Nago sypiają, tak jako matka urodziła, i nie mają tego za żadną sromotę, rozbierając się i ubierając jedno przy drugiem, a nawet nie strzegą się i gościa, ale przy świecy zdejmują wszystek ornament* (ubranie — dod. mój); *a na ostatku i koszulę zdejmie i powiesza to wszystko na kołeczkach, i dopiero tak nago drzwi pozamykawszy, świecę zagasiwszy, to dopiero w ową szafę włazie spać. Kiedyśmy im mówili, że to tak szpetnie, u nas tego i żona przy mężu nie uczyni, powiedały, „tu u nas nie ma żadnej sromoty i nie rzecz jest wstydzić się za swoje własne członki, które Pan Bóg stworzył". Na to zaś nagie sipienie powiadają, że „ma dosyć za swe koszula i inszy ubiór, co mi służy przez dzień i okrywa mię; powinna też przynajmniej w nocy mieć swoją ochronę, a do tego co mi po tym robaki, pchły brać z sobą na nocleg do łóżka i dać się im kąsać mając od nich w smacznym spaniu przeszkodę"!*

Nasi przodkowie dużo uwagi poświęcali higienie życia seksualnego. J. K. Haur, autor głośnej „Oeconomiey Ziemiańskiej" z 1693 roku zalecał umiar w „tych rzeczach" pisząc, że: *„...pomierna społeczność naturę i żądzę ochładza, uzdrawia, czyści i uwesela, kolerę mitiguje, człowieka lekkiego i dziarskiego sprawuje"*.

Świetny poeta z czasów Baroku Jan Andrzej Morsztyn wyśmiewał i lekarzy, i pacjentów zasięgających porady w tych sprawach. W śmiałej jak na XVII wiek fraszce pt. „Nie głupia" pisał:

Kiedy się lepiej zalecać, doktora
Pytała panna, z rana czy
z wieczora?
Doktor powiada: Lepiej to osłodzi
Wieczór, lecz zdrowiu nie tak
rano szkodzi.
Uczynię, mówi, według twego
zdania:
Wieczór dla smaku, dla zdrowia
z zarania.

Świat jak teraz, tak i w XVII wieku był jednak pełen sprzeczności. Obok więc zaleceń higieny stosowano też środki podniecające, różne meskolancje aptekarskie, olejki, ingrediencje i odwary, tzw. konfortatywy, które, jak podaje autor wspomnianego „Zielnika" Syrenius miały *„do wenusa i skutku małżeńskiego pobudzać i potężnym czynić"*. Ziele „mistrzownik" na przykład posiadało takie cudowne właściwości, że „stare i osłabiałe do młodych żon potężne czyni, oziębłość w nich rozgrzewając".

Zbigniew Kuchowicz, autor interesującej pracy „Z dziejów obyczajów polskich" pisze, że hetman Stanisław Koniecpolski zmarł w parę tygodni po ślubie od konfortatywy, której nadużywał dla dogodzenia swojej młodej żonie, gdyż to, co mu aptekarz przepisywał na kilka razy, hetman na raz zażył. Trzeba jednak dodać, że pan Koniecpolski liczył sobie lat 55, podczas gdy jego żonka miała 20 wiosen.

Był też sposób... prawny na utrzymanie, a raczej — podtrzymanie miłości małżeńskiej. Odnosiło się to jednak przeważnie do chłopów w procesach, które toczyły się w sądach wiejskich w sprawach o złe pożycie małżeńskie.

Sąd przeważnie nie wnikał w to, kto ponosi winę. Kara spadała na tego, kto opuścił dom lub wygnał z niego małżonka. Wyroki tamtejsze z punktu widzenia dzisiejszego wyglądają nieraz paradoksalnie. A więc żona po ucieczce od męża sadysty, który ją bił i katował narażała się na surową karę.

Sądy rozpatrywały również skargi na nieposłuszeństwo ze strony żon i wymierzały krnąbrnej żonie serię plag. Czasem jednak stawał sąd na stanowisku, że mąż ponosi również winę, gdyż zwierzchności małżeńskiej, gdzie trzeba, nie umie lub nie chce zażywać, i wymierzał także plagi zbyt potulnemu małżonkowi.

Następny felieton będzie jeszcze też o „tych rzeczach", a mianowicie, jak w dawnej Polsce karano za grzech przeciwko Szóstemu przykazaniu: „Nie cudzołóż!".

WŁADYSŁAW UDALSKI

WYKOLEJONY WÓZ

W kiosku ulicznym można go kupić za 1,40 zł. W reporterskiej „konsumpcji" cena jego zwyżkuje już stokrotnie, a po roku, dwu lub więcej — przyniszczony kieszonkowy notes dziennikarza staje się bezcennym źródłem — zawiera urywki rozmów, strzępy zdarzeń, charakterystyki osób, a ze zbieraniny życia tworzą się procesy zjawisk, ucieleśnia obraz myśli.

Niżej oto tego typu konstrukcja. Architektoniczny projekt? — Proces rozwojowy spółdzielczości produkcyjnej w czasie trzech ostatnich lat. Materiały budowlane? Obserwacje i zdarzenia. Tynk, zewnętrzna elewacja? Kilka słów komentatora.

Obraz I
wrzesień 1955

Kukurydza wyrosła rzeczywiście imponująco. Szerokie ciemnozielone miecze liści, tęgie złocistomleczne kolby ziarna, prawie trzymetrowe łodygi — istny bór. Wróg czy przyjaciel, każdy kto przechodził obok — musiał stanąć, by popatrzeć na dorodny jackowicki plon spółdzielczy.

Późnowrześniowe słońce nie żałowało resztek ciepła, jakby jasną świeżością jesiennego poranka chciało nadać pełniejszą oprawę zbliżającemu się widowisku. Z piotrowickiego POM ściągały bowiem traktory i przyczepy, hurmem zwaliła się „Warszawami" prasa, przyjechała „Kronika Filmowa". Delegaci ministerstwa od tygodnia siedzieli już w spółdzielni, aby „zabezpieczyć" pomyślny zbiór „Krasnodarki". Komitet Wojewódzki partii urządził specjalną mobilizację swego „odpowiedzialnego aktywu", a z odległego o 10 km Łowicza przyszło pieszo kilka wycieczek szkolnych — niech dzieciarnia na własne oczy obejrzy, jak buduje się socjalizm na wsi. Pościągały też delegacje z innych spółdzielni, przyszli pojedynczo chłopi z okolicznych wiosek...

Zbiór się zaczął. Olbrzymi kombajn wcinał się zaciekle w zielony gąszcz, kukurydza kładła się pokotem na transporter, a krótka sieczka sypała się z drugiej strony żelaznego kolosa wprost do podstawionych przyczep.

Dziesiątki oczu wpatrywało się chciwie w robotę, dziesiątki nóg wałęsało się nieustannie po polu, dziesiątki rąk wyciągało się łakomie po kolby. Na podłaździach do silosów kłębił się zator ciągników i z godziny na godzinę narastał bałagan i marnotrawstwo.

Dziesiątki ludzi „brało" udział w sprzęcie jackowickiej kukurydzy, pot zaś ciężki i perlisty lał się tylko z kilku spółdzielców ustawionych przy silosach.

Nadchodziło już południe. Oborowy szykując się do oprzędu krów mówił gniewnie do sąsiada — chłopa z graniczącej o miedzę wsi:

— Po co wymyślili nam ten cały „bajzel"? Sami byśmy zrobili lepiej, bez hałasu i bez straty. Ale „gdzie jest rządców wielu, tam sianem pod bydłem ścielą". A potem... nie ma co jeść.

Komentator: I rzeczywiście. Mimo tak „czułej" i „troskliwej ze wszystkich stron" opieki, jackowicka kiszonka kukurydziana nie przyniosła spółdzielni pełnych efektów. Przygotowywana „na chybcika" w poważnej części zepsuła się — silosy były wadliwie wybudowane — zrażając spółdzielców do uprawy kukurydzy. Strat przy widowiskowym sprzęcie nikt nie obliczał.

Obraz II
czerwiec 1956

II Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej w Warszawie miał się już ku zamknięciu. Pod koniec dyskusji udzielono głosu jeszcze przedstawicielowi spółdzielców województwa łódzkiego.

Henryk Kierus, młody dwudziestoletni chłopak i przewodniczący niewielkiej spółdzielni produkcyjnej w Ostrołęce, pow. Łowicz, mówił z przejęciem o swych obawach:

„Niepokoję się, że w spółdzielniach nie będzie dobrze, jeśli nie zapanuje tam atmosfera swobody i gospodarskiego poczucia spółdzielców, jeśli chłop nie będzie wiedział, że o sprawach wewnętrznych, planach i kierunkach gospodarczego rozwoju decyduje przede wszystkim on — właściciel. Nie wybrniemy nigdy z trudności, jeśli będzie tworzyć się warunki do powstawania bałaganu, marnotrawstwa i nieróbstwa. I zajdziemy w zaułek z piękną ideą spółdzielczości, jeśli nie pokieruje naszym działaniem zwykła, prosta troska codzienna o los, byt i życie członka spółdzielni."

Nazajutrz gazety dość zdawkowo potraktowały sens wystąpienia młodego spółdzielcy. Zjazd zaś nie dał odpowiedzi, jak rozwiązywać w praktyce narastające konflikty.

Komentator: W kraju tymczasem podnosiła się fala krytyki. Wokół spółdzielczości produkcyjnej rozpoczynał się szum.

Obraz III
październik 1956

Przy głośnikach starzy i młodzi. Na dworze mrok i wyczekiwanie. Opanowany głos tow. Wiesława rozchodzi się donośnie, pulsując głębokim przekonaniem:

„Dla spółdzielczości produkcyjnej na wsi widzę perspektywę rozwoju tylko pod następującymi warunkami:

1. Wstępowanie do spółdzielczości produkcyjnej jest dobrowolne. Oznacza to, że wyklucza się nie tylko groźbę czy przymus psychiczny, lecz także przymus ekonomiczny. Wymiar podatków i dostaw obowiązkowych może być również narzędziem przymusu.

2. Członkowie spółdzielni rządzą się sami. Spółdzielnia — to nic innego jak samorządne rolnicze przedsiębiorstwo produkcyjne. Zarząd wybiera się według niczym nie skrępowanej woli członków. Swoimi zasobami winna ona gospodarzyć również według uznania członków.

I dalej:

„Państwo udziela spółdzielniom niezbędnej pomocy kredytowej na cele inwestycyjne, udziela im pierwszeństwa przy zawieraniu umów kontraktacyjnych na dostawy najbardziej opłacalnych surowców rolniczych, zapewnia im dostawę nawozów sztucznych...", ale znosi dotacje, które tworzyły „...niezdrowy, nieekonomiczny, nietrwały i grożący stale zawaleniem fundament, na którym oparto spółdzielczość produkcyjną".

I jeszcze:

„Spółdzielczość produkcyjna na wsi będzie dobra wówczas, kiedy szeroko zostanie obudzone wśród chłopów głęboko ludzkie poczucie wspólnoty wszystkich pracujących. „Wspólna praca uspołecznia człowieka najgłębiej, budzi w nim poczucie świadomości, że człowiek nie żyje sam dla siebie, lecz także dla drugich ludzi...".

Komentator: Wielu ludzi słuchało z nadzieją tych słów. Niektórzy szykowali się do natarcia na spółdzielnie.

Obraz IV
grudzień 1956

Nad spółdzielniami wisiał głuchy niepokój. Ropiejące, roztoczone rakiem wewnętrznej niezgody pękały jak pusta łupinka orzecha pod pierwszym silniejszym podmuchem. Jątrzyły się też konflikty we wsiach, gdzie przy zakładaniu ongiś pokrzywdzono „indywidualnych" chłopów. Podnosiła głowę wiejska reakcja. Krzykacze, demagodzy i pijacy rzucali się w nurt przemian i opasywali wrogością dobre zespoły produkcyjne. „Ale wam dał Gomułka w łeb" — mówili. — „Teraz spółdzielnie się nie podniosą". „Rozwiązywać się — jeszcze żyjecie?".

Ironia, nieprzychylność, wrogość. A pomocy znikąd nie ma. Każdy ma dość swych kłopotów.

Więc co, wracać do starego? Wycinać ze spółdzielczego organizmu swój pięciohektarowy „zuchelek" gruntu, stawiać zagrodę, kupować konia i w pojedynkę pchać ciężki wóz „indywidualnego dorobku" pod górę trudności i mordęgi?

Stara Stachurska z Jackowic nie zdecyduje się na nic takiego. Uwijając się pośród garnków, nie przerywa opowiadania:

„Mnie tam dobrze dzieje się w zespole, pierwsza byłam kiedyś do spółdzielni, postawiłam sobie domek, elektryczność mam, wygody, a w tym roku wypracowałam razem z synami 900 dniówek obrachunkowych... Miałam kiedyś swoją działkę. Mąż mi umarł, koń zdechł — musiałam za chłopa i konia razem odrabiać. Nie chcę więcej takich rozkoszy...

W spółdzielni mamy dobrego przewodniczącego, Cieślak rozumie się na rolnictwie. Nie przepadniemy w zespole. A że Gurkowie odeszli, Nosalscy, Gasik, Bernacki, że z 230 hektarów zostało się 140? Siłą nikogo nie zatrzymamy — teraz w spółdzielniach wolność, to wolno nam zostać na wspólnym...

Pewno „znista" będzie ogromna. Ten ładny kawał ziemi przy stacji, tam gdzieśmy kiedyś kukurydzę zbierali, teraz rozdrobią i wezmą. Zrobi się dużo bałaganu, i krzywdy dla spółdzielni. Łąki dawniej były zaniedbane, chłopi tam torf tylko kopali, a teraz trawy rosną pod pachu, ogród 6-letni trzeba będzie podzielić... Po Kowalczyku ziemia była zaperzona, to narobiliśmy się cholernie. Ale jesteśmy zdecydowani — co komu trzeba — oddamy, a kto chce niechaj odchodzi, byle nam później w czasie robót nie przeszkadzał...

Głośno będzie jeszcze o Jackowicach w Polsce...".

Martwi się teraz wielu spółdzielców. Stary Domagała, przewodniczący spółdzielni w Raczynie, pow. Wieluń, siedzi głucho przy stole i duma:

„Tyle roboty włożono, gospodarstwo wyszło z trudności, na polach rodzi się bujnie i teraz wszystko na marne? Bo obszarnik Wiśniewski się kręci, papiery jakieś wyciąga i ręką po ziemię naszą sięga...? Łebek, Domagała, Marczak, Kik pobudowali już domki, korzeniami wrośli w tę ziemię i teraz co przyjdzie — opuszczać?"

Stary Domagała zaciska pięść: — Nie damy! Z widłami wyjdziemy na pole jak będzie trzeba...

U Kierusa w Ostrołęce spokój. Jakby się na świecie nic nie działo.

„Dziewiętnastego mieliśmy podział dochodu; dniówka wyszła nam po 68 złotych, ludzie pracują z zadowoleniem. Skoneczny i Pieniążek rok temu zastanawiali się czy nie wystąpić z zespołu, teraz kijem ich nie wypędzisz..."

Kierus wyrzuca obornik na pryzmę. — Od razu 10 metrów nie skoczysz. Wszystko trzeba w swoim czasie — krok po kroku.

Komentator: Wiosną 1957 r. niebo nad spółdzielniami było jeszcze nieprzetarte. Z 420 gospodarstw zespołowych „rozsypała się" co najmniej połowa. Większości z nich nikt nie żałował. Ale lancet naprawy czasem szedł za daleko, popychała go wroga ręka albo ludzka niepewność. Mogły ostać się Szewce, Bogoria, Bedlno, Bogumiłowice...

Spółdzielcy postanowili wziąć swoje sprawy w swoje ręce. W kwietniu 1957 powstał Wojewódzki Związek Spółdzielni Produkcyjnych. Idea samorządu spółdzielczego zatriumfowała całkowicie. Czasy „ustawiaczy", „planistów" i „opiekunów" skończyły się nieodwołalnie. W 140 kilku spółdzielniach rządzić mogą tylko sami spółdzielcy.

Październik zwiastował wiosnę.

Obraz V
luty 1958

Meldunki ze spółdzielczego frontu:

„Bogumiłowice wróciły do zespołowej gospodarki.

„Wilkowice, Biała Rawska, Opiesin, Paprotnia — dziesiątki silniejszych spółdzielni kupują sprzęt rolny i ciągniki.

„Jackowice przestawiają się na warzywnictwo. Powstaje tam wielki kombinat ogrodniczo-warzywniczy. Dla zainteresowania członków spółdzielni wynikami produkcyjnymi i wzmocnienia ich odpowiedzialności za majątek spółdzielczy postanowiono na zebraniu obciążyć się kilkutysięczną sumą pieniężną — czymś jakby w rodzaju kaucji.

„W Wyborowie zrobili to samo.

„Spółdzielnie w Ksawerowie, Opiesinie, Małkowie wprowadziły rentę starczą i rentę gruntową od ziemi.

Komentator: A tymczasem nie wszędzie szło jak po maśle.

Obraz VI
maj 1958

Była może godzina 8 wieczorem. Październikowy zmierzch dawno pozacierał już kontury domostw, cisza jesienna schodziła powolutku na Kobiele i tylko od wschodu jaśniało coraz bardziej, pewno księżyc dawał znać, że wzejdzie.

„W chacie było przyjemnie, płomienisty ogienek rześko buszował pod garnkami, młoda para pod ścianą wesoło gruchała do siebie, a ja — mówił Skwarek — rozprostowując naciągnięte od roboty kości co ruszy to podrzucałem młodym pieprzny kawał.

Za oknem pojaśniało.

I nagle... w sieniach łomot. Później krzyk: — Stasiek, pali się stodoła! — Sąsiad wyskakiwał co sił w nogach na dwór.

Krew buchnęła mi strumieniem do głowy, a na gardle zacisnęła się jakaś piekielna łapa. Półprzytomny pochwyciłem siekierę. — Zabiję, zabiję... niech się dzieje wola boska...

Nie wiem jak przebiegłem przez podwórze. Ogień czysty i przezroczysty wydobywał się gdzieś z głębi i przerzynał już przez szpary. Ktoś podłożył go pod sąsiek. Myśleliśmy, że zdusimy. Ale ludzie już się zbiegli, rzucili się po młocarnię.

Przez otwarte klepisko buchnął nagle zimny przeciąg i morze ognia objęło w oka mgnieniu stodołę. Ledwo człowiek z życiem uszedł. Nie pomogła straż ogniowa. Czerwony kur trawił zapamiętale zboże z dwudziestu hektarów, ogryzał wściekle maszyny, nie przepuścił nawet drzewom z pobliskiego o krok parku".

Po godzinie na pogorzelisku było pusto.

Stanisław Skwarek, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Kobielach Wielkich, pow. Radomsko oprowadza po śladach dawnej stodoły. W oczach tli mu się zawziętość:

„Po raz drugi trafił celnie. We wrześniu 1956 r. puścił nam z dymem jeszcze większy dobytek: stodołę o długości ponad 60 m, całoroczny zbiór z pola, nadzieję. W rok następny cios poprawił...".

„Myślał pewnie — Skwarek zamyślił się chwilę — że spółdzielnia się rozpadnie. Tyle mu wyszło. Nazajutrz po pożarze zebrali się wszyscy spółdzielcy i postanowili: — A my ci, skurwysynu, pokażemy, że w spółdzielni większa siła... Część bydła sprzedaliśmy, uruchomiliśmy cegielnię, szykujemy teraz do wypału ponad 400 tys. sztuk cegły, obrobiliśmy dobrze pole, plony zapowiadają się jak złoto i... stodołę postawimy".

Komentator: W zapale „odkręcania" przegięć powiadali niektórzy, że walka klasowa na wsi zanikła, konflikty wygasły. Nie wiadomo czy kobielskie wypadki są akurat wynikiem walki klasowej i kułackiego podjudzania. Fakt jednak — walka trwa!

Obraz VII
czerwiec 1958

W sali konferencyjnej Woj. Zarz. Rolnictwa w Łodzi odbywa się II Walny Zjazd Delegatów Spółdzielni Produkcyjnych. Ksawerowski przewodniczący spółdzielni produkcyjnej i przewodniczący Woj. Związku Spółdzielni Prod. inż. Edward Czerwiński podaje cyfry i fakty.

„W chwili obecnej na terenie woj. łódzkiego istnieje i pracuje 160 gospodarstw zespołowych. W ciągu obecnego roku reaktywowało się i powstało 18 nowych spółdzielni, z tego dwie na starych wsiach z ziemi wyłącznie chłopskiej.

Pod względem ilości spółdzielni zajmujemy 5 miejsce w kraju (kiedyś byliśmy na samym końcu). Jeśli chodzi o procentowość utrzymanych gospodarstw mamy w kraju najlepsze wyniki".

Październikowe „trzęsienie ziemi" na wsi uspokoiło się. Życie w spółdzielniach wróciło do normalnego porządku. Co dalej ze spółdzielczością?

Na II Walnym Zjeździe Delegatów Spółdzielni Produkcyjnych w Łodzi dyskusja trwa. Tow. Marosek, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Sobocie, pow. Łowicz mówi:

— Chcemy, żeby spółdzielnia i spółdzielcy przodowali w swojej okolicy pod każdym względem, żeby odróżniali się wysoką kulturą, zachowaniem, wiedzą, podejściem do pracy, atmosferą w spółdzielczej rodzinie. Musimy dążyć ze wszystkich sił, aby spółdzielcy stawali się światłymi ludźmi. Dlatego też proponuję, aby wprowadzić zimą obowiązkowe szkolenie w spółdzielniach, żeby każdy spółdzielca świadomy był sposobu gospodarowania, organizacji gospodarstwa, wiedział co się dzieje na świecie i umiał korzystać z dóbr kulturalnych...

Komentator: Na tym notes się skończył. Ale proces trwa. Jaki będzie jego kierunek? Piętno, jakie kilkuletni nacisk administracyjny w okresie forsownego propagowania kolektywizacji wybił w świadomości ludzkiej na idei spółdzielczości — powoli znika. Wykolejony wóz spółdzielczy wskoczył znów na właściwy tor. Niech go prowadzą dalej twarde ręce spółdzielców i dobry, mądry kierowca — październikowy duch przemian!

WANDA KARCZEWSKA

ZMYSŁY KSIĘDZA PREFEKTA

Nosiłyśmy wtedy mundurki za kolana, ponieważ kolana były wstydliwą częścią ciała i należało je kryć, wysokie kołnierzyki, ponieważ obnażona szyja była wstydliwą częścią ciała i należało ją kryć. Nosiłyśmy warkoczyki, tak zwane mysie kitki, splatane na uszach, ponieważ chyba i odsłonięte uszy były wstydliwą częścią ciała i również należało je kryć. Tak przynajmniej mówiły nam siostry, a my nie oponowałyśmy, kolana bowiem nasze były chude, szyje cienkie, w ogóle całe byłyśmy wówczas czymś, co przypominało raczej szczotki do zamiatania, aniżeli przyszłe kobiety.

Modliłyśmy się posłusznie kilka razy dziennie, chodziłyśmy grzecznie na msze i na nieszpory, z pokorą wcześnie wstawałyśmy i wcześnie kładłyśmy się spać. Jedynie nasze żołądki buntowały się, ale działo się to bez udziału naszej woli. Żołądki wiedziały ze świątecznych pobytów w domu, co to jest smacznie wypieczone mięso, pływające w złocistym sosie, co to jest chrupka skórka na kurczęciu. Żołądki same dopominały się tego, wbrew naszej pokornej woli. Więcej, żołądki, właśnie one, czuły w klasztornej jadalni, śród mdłych zapachów kaszy i klusek, przenikającą skądś woń pieczeni. Pewnego razu żołądki, nie upoważnione przez nas, wręcz zapytały naszymi ustami:

— Proszę siostry, dlaczego my tak rzadko dostajemy mięso?

Siostra Beata, wielka i wysoka, mająca w ustach coś na kształt łopatki, zamiast języka, którą musiała ścieśniać między zębami, kiedy chciała używać organu mowy, zgromiła nas oczami i odpowiedziała surowo:

— Moje dzieczko, od mięsza żmyszły się przedwcześnie rozwijają.

— A co to są zmysły?

— Grzech, grzech! Czo wam do głowy przychodzi? O czym wy myślicie! Ogień piekielny będzie wasz palił!

Odeszła, chwytając różaniec u pasa.

Nie wiedziałyśmy, co z tymi zmysłami począć. Zapach pieczonego mięsa stale za nami chodził. Po refektarzach, po schodach; wkradał się do naszej sypialni. Najmocniej jednak wkręcała się nam w nos i torturowała nas jego przerozkoszna i kusząca woń, kiedy wychylałyśmy się z naszej sypialni na podwórze, otoczone wysokim murem, na które wychodziły także okna kuchni klasztornej. Tylko że teraz, po rozmowie z siostrą Beatą, zapach ten miał w sobie niejasny posmak czegoś zakazanego. Niekiedy woń pieczonego mięsa wałęsała się za nami uporczywie, czasem wprost czatowała na nas, i to coraz częściej w miejscu, gdzie z refektarza biegł do ogrodu mały korytarzyk. W korytarzyku tym było dwoje drzwi. Jedne prowadziły do kancelarii siostry przełożonej, drugie do pokoju księdza prefekta. Zapach pieczeni tak nas kiedyś wyprowadził z równowagi, że postanowiłyśmy go przyłapać, zauważyłyśmy bowiem, że szczególnie silnie daje się on nam we znaki po przejściu siostry kuchennej, która na tacy zgrabnie trzymanej nad naszymi głowami, nosiła talerze z obiadem dla księdza prefekta. Nasze pokorne noski nie mogły znieść dłużej tego ukrywania się winowajcy. W naszej obecności przecież dokonywało się straszliwe przestępstwo: rozwijano zmysły księdza prefekta.

Jakoż bodaj na trzeci czy czwarty z rzędu dzień naszej obiadowej kaszy — nie wytrzymałyśmy. Przyczaiłyśmy się za biało malowanym przepierzeniem, które oddzielało refektarz od korytarzyka i gdy siostra kuchenna ukazała się z wysoko uniesionymi talerzami, wdrapałam się na ramiona mojej przyjaciółki Isi. Przyczajona tuż za przepierzeniem, czekałam nadejścia siostry. Kiedy była tuż tuż, Isia podsadziła mnie wyżej, a ja, schwyciwszy się krawędzi ścianki, wdrapałam się na nią. I stamtąd — o zgrozo! — zobaczyłam. Na talerzu, w wianuszku groszku i młodych ziemniaków, leżało coś w złocistej skórce, pachnące, soczyste i duże jak dwie dłonie. Wszystkie potęgi piekła nie zdołałyby wymyśleć czegoś bardziej kuszącego. Zamknęłam oczy i po chwili z rumorem skatułałam się po plecach zgarbionej Isi na ziemię. Nie wiem czy upadek, czy widok tego czegoś złocistego i piekielny zapach sprawiły, że niemal zemdlałam. Kiedy ocknęłam się, ujrzałam nad sobą mysie kitki koleżanek. Nic nie mówiąc podniosłam się, wzięłam Isię za rękę i, wyprowadziwszy ją do najciemniejszego kąta, spojrzałam jej przepastnie w oczy.

— No? — Isia pytała z drżeniem w głosie — Widziałaś?

— Widziałam! — skinęłam patetycznie głową, przymykając tajemniczo powieki.

— Co? — drżała z niecierpliwości.

Przybliżyłam twarz do jej twarzy, spojrzałam głęboko w jej rozszerzone źrenice i obwieściłam:

— K o t l e t!

Byłyśmy przerażone i kręciło się nam w głowach. Od grzesznego zapachu, od odkrycia i od straszliwego przypuszczenia, że siostry dokonują na księdzu jakiegoś przestępczego zabiegu. Czy to się działo z jego wiedzą? Czy bez? — zachodziłyśmy w głowę.

— Przecież on musiał wiedzieć, że mięso rozwija zmysły, a zmysły — powiedziała siostra Beata — to grzech. Ksiądz prefekt, pulchny, o małych oczkach w otoce różowych policzków, trzymający na lekcji religii ręce na piersiach, które zdawał się gładzić, aż sutanna w tych miejscach świeciła się dwoma błyszczącymi plackami — ulegał tu bezwiednie lub skrycie czemuś, od czego dusza jego mogła się zgubić, pokrywając się w przyszłości być może taką samą, jak tęgie ciało, warstwą tłuszczu.

Przez kilka dni chodziłyśmy strapione, kiedy wreszcie dano nam w niedzielę wygotowane, jałowe mięso, bałyśmy się go jeść. Połknąwszy je szybko, niemal nie pogryzionymi kawałkami, żeby nie odczuć jego smaku, czułyśmy jednak jak się nam rozwijają zmysły. Isia wzięła mnie za rękę i mówiła:

— Julka, czujesz? Czujesz naprawdę?

Kiwałam z powagą głową.

— A ty — pytałam — też czujesz?

— Ja też — Isia opuszczała wstydliwie oczy. — To straszne — szeptała — zwłaszcza w nocy, kiedy się człowiek przewraca na drugi bok i niechcący się urazi. To bardzo boli. Ciebie też?

— Co boli? — zapytałam, nie bardzo rozumiejąc.

Popatrzyła na mnie zdumiona:

— No... zmysły... Jak się rozwijają, to bolą...

Nie wiedziałam o co chodzi, ale patrzyłam urzeczona. Isia w i e d z i a ł a. Pochyliłam się ku niej, trawiona gorączką ciekawości.

— Gdzie one są? Powiedz. No, mów, prędko!

— Jak to? To ty nie wiesz? Ciebie nie bolą?

— Co, Isiu? Isiuniu najsłodsza, powiedzże!

Isia wzięła moją rękę, obejrzała się trwożliwie i przycisnęła do swojej piersi. Pod szerokim mundurkiem, tam gdzie ja miałam żebra i na nich dwa czerwone guziczki, wyczułam u Isi coś okrągławego, pęcznieującego.

— Czujesz, jak mi się rozwinęły?

Cofnęłam, zawstydzona, rękę.

— Idź, głupia... Przecież...

— Co? Aaa... — rzuciła domyślnie z uczuciem wyższości — widocznie tobie się jeszcze nie rozwijają. To pewnie dlatego, że jesteś o dwa miesiące młodsza i że nie jesz tyle mięsa, ile się u nas w domu jada...

Zaczerwieniłam się. Wstydziłam się niezamożności mojej matki i tego o czym mówiłyśmy.

— Isia, co ty? — pokazałam palcem zarysowujący się kłębuszek pod bluzką Isi — to nie są te zmysły. Przecież ksiądz je mięso, a jemu się one — wskazałam oczami — nie rozwinęły...

Teraz ona zrobiła rybie oczy.

— Prawda, ksiądz nie ma... Ale w takim razie, co to są te wściekłe zmysły?

To było pytanie, a odpowiedzi znikąd.

Aż wreszcie przyszła sama. Na święta Bożego Narodzenia Isia zaprosiła mnie do siebie. Jechałyśmy pociągiem pod opieką „starszej" z ósmej klasy. W P. miały czekać na nas konie z majątku rodziców Isi. „Starsza" niemal przez cały czas stała na korytarzu z jakimś studentem, myśmy siedziały w przedziale. Czytałyśmy, spałyśmy. Dwaj panowie, którzy przysiedli się w drodze, w pewnej chwili, gdyśmy drzemały, zaczęli coś o nas mówić. Miałam oczy przymknięte, ale uszy — oho! — jak otwarte.

— Ta mniejsza — mowa była widocznie o mnie — ma wygląd oschłej sawantki w wieku niemowlęcym. Ta większa — wiadomo, chodziło o Isię, przerastała mnie o pół głowy — o, z tej to będzie zmysłowa dziewczyna. Popatrz na jej usta, za dwa, trzy lata... Aż się proszą, żeby je...

W tej chwili Isia poruszyła się, otworzyła oczy. Panowie szybko zmienili temat rozmowy. Ale uśmiechać się, patrząc na Isię nie przestawali.

Coś mi się zaczęło w łepetynie rozjaśniać. Pociąg pędził szybko, starsza na korytarzu, zaróżowiona i ożywiona, szeptała ze studentem, panowie patrzyli na Isię w dziwny sposób; koła pociągu wystukiwały:

— Zmy-sły, zmy-sły, zmy-sły, zmy-sły...

Wiedziałyśmy, że do tajemnicy dotrzemy w domu Isi. Po przyjeździe patrzyłyśmy na starszych uważnie, słuchałyśmy o czym mówią. Zadziwiało nas, zwłaszcza mnie, że wszyscy swobodnie i w dowolnej ilości jedzą mięso, jakby nie wiedzieli, jak zgubny wpływ ma ono na człowieka. Ale nie — oni chyba musieli coś o tych zmysłach wiedzieć, tylko może w jakiś inny sposób, bo słowo to coraz padało z ich ust. Słuch nasz tak się na nie wyczulił, że nie uszło naszej uwadze ani jedno zdanie, w którym się ono znajdowało. Matka Isi, siedząc w salonie z panią z sąsiedztwa, powiedziała kiedyś: „On zupełnie przez nią zmysły postradał". Pani Bożęcina, wdowa po rządcy, opowiadała, że po stracie męża „odchodziła od zmysłów". To ostatnie trochę nam zaciemniło sprawę, ale już powiedzenie brata Isi do kolegi z czwartego roku prawa: „Ona mi działa na zmysły" znowu nas przybliżyło do tajemnicy. Chciałyśmy poprosić brata Isi o jej wyjaśnienie, ale w ostatniej chwili zabrakło nam odwagi. Przypadek sam wyszedł naprzeciw palącej nas ciekawości. Podczas jakiegoś obiadu z tłuściutką pulardą w rosole, mama Isi powiedziała, że ktoś tam ma szósty zmysł. Wtedy Isia wypaliła podstępnie:

— Mamusiu, a ile jest zmysłów?

Wszyscy zamilkli. Drżałyśmy, co teraz nastąpi. Ale mamusia Isi odpowiedziała spokojnie:

— Nooo... pięć, zdaje się. Zmysł wzroku...

I wtedy wszyscy uradowani mądrością mamusi, zaczęli się prześcigiwać:

— Zmysł słuchu — powiedział ojciec Isi, gruby pan z dużymi czerwonymi uszami.

— Zmysł powonienia — pani Bożęcina poruszała nozdrzami, obgryzając smakowicie kurzą pałkę — zmysł smaku...

— Zmysł dotyku — brat Isi zaśmiał się nagle i urwał, zgromiony nie wiem dlaczego spojrzeniem grubego pana z czerwonymi uszami — no i tak dalej i tak dalej...

— No to... — Isia zacięła się, szukając wzrokiem pomocy we mnie — No to dobrze, prawda?

— Co dobrze, dziecinko? — pytała mamusia.

— Jak się zmysły rozwijają. Nawet przedwcześnie, zanim dorośniemy?

— Naturalnie, moje dziecko. A dlaczego o to pytasz?

— Booo... — nagle Isia zmieniła temat. — A co trzeba robić, żeby się zmysły rozwijały?

Przy stole znowu zapanowała cisza. Namyślali się widocznie, co odpowiedzieć. Wreszcie pierwsza przerwała milczenie mamusia. Wiadomo, matki są zawsze najmądrzejsze.

— Noo... zmysł wzroku, słuchu, powonienia... trzeba ćwiczyć, starając się rozróżniać dźwięki, głosy ludzi, ptaków. Wzroku — patrząc w dal, dotyku — zamknąwszy na przykład oczy i próbując dotykiem rozpoznawać przedmioty, materię, z której są zrobione.

— A mięso? — rzuciłam nagle ja ze skrytą nadzieją rozwiązania trapiącej nas tajemnicy.

— Co mięso? — mamusia Isi popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— No to mięso trzeba jeść?

— Zaraz, Juleczko, o czym ty mówisz?

— No bo siostra Beata powiedziała nam, że mięsa nie dostajemy dlatego, żeby nam się zmysły przedwcześnie nie rozwinęły, — tłumaczyła Isia — ale skoro dobrze, jeśli się zmysły rozwijają i jeśli... to nie... grzech, to... powinni nam dawać mięso... A my, mamusiu, wiesz, my tylko raz na tydzień a i to takie suche, jałowe, że...

Nagle brat Isi parsknął, chciał zerwać się od stołu i uciec, pewnie aby wyśmiać się w swoim pokoju, ale opadł na krzesło, zgromiony wzrokiem ojca. Wykrztusił tylko w serwetkę:

— Bo zdechnę, jak Boga kocham...

Pani Bożęcina wodziła spojrzeniem po ojcu i matce Isi. Ci siedzieli przez chwilę nastroszeni, jak zmokłe kury. Wreszcie mama Isi podniosła się, ze słowami:

— Musiało ci się, Isiu, coś pokręcić. Na pewno siostra mówiła jakoś inaczej. Mięso od czasu do czasu trzeba jeść. Zawiera ono składniki potrzebne do wzrostu organizmu ludzkiego. ale... kiedy indziej ci o tym powiem dokładniej. Skończmy teraz ten obiad, głowa mnie jakoś bardzo boli...

Zjedliśmy, podziękowaliśmy. Mamusia odeszła, zaraz za nią pospieszył ojciec, wezwany jej spojrzeniem, rzuconym ponad naszymi głowami. Zmierzyłyśmy się z Isią wzrokiem. Oho, coś z tej rozmowy jednak wyniknie. Przyczaiłyśmy się za portierą przy drzwiach sypialni rodziców, ale rozmawiali tak ściszonymi głosami, że zdoła-

Ostatnio odeszłam zupełnie od pisania wierszy. Wydaje mi się, że zamknięty już jest pewien mój okres poetycki. Wszystko co zrobiłam w tej dziedzinie jest dla mnie czymś bardzo dalekim. Obecnie „siedzę" w prozie. Piszę małe opowiadania. Złożą się one na tom, który powinien był w tym roku wyjść w „Czytelniku", a który wymaga dopełnienia nowym materiałem. Charakter obecnie uprawianej prozy odbiega nieco od tradycyjnie rozumianego realizmu. Nie dlatego żeby wierne przedstawienie świata w jego niezafałszowanych proporcjach było niemożliwe, lecz że znacznie ciekawsze wyniki daje wyjście poza granice dosłowności i jednowymiarowości zdarzeń i ludzi, dyktowanej przez realizm, otwierając tak przed czytelnikiem jak i pisarzem większe perspektywy dla funkcjonowania wyobraźni i wzbogacając wiedzę o człowieku i o mechanizmie życia ludzkiego w ogóle.

WANDA KARCZEWSKA

MIECZYSŁAW GÓRSKI

MELODRAMAT

Jeszcze niedawno byłem przekonany, że dziś o wszystkim decyduje technika. Chemia, daktyloskopia, grafologia, skomplikowana aparatura laboratoriów — oto atrybuty współczesnego kryminologa, które decydują o powodzeniu śledztwa. Psychologia, wyczucie, intuicja, to sprawy, jak sądziłem — drugorzędne. Już wkrótce miałem się przekonać o swej pomyłce. Są bowiem sprawy, gdzie atutami decydującymi o powodzeniu jest giętkość umysłu, inteligencja, wyobraźnia, dyscyplina myślenia, intuicja plus odrobina szczęścia — jednym słowem talent.

MORDERSTWO

„Dnia 23 marca 1958 roku rano ob. Jankowska przechodząc koło potoku znalazła zwłoki kobiety. Po otrzymaniu meldunku udałem się na miejsce celem zabezpieczenia zwłok". Meldunek sierżanta był krótki i lakoniczny.

Wkrótce potem do Komendy Wojewódzkiej MO wędruje pilny, ściśle tajny telefonogram: „Na terenie miasta znaleziono zwłoki kobiety zabitej wystrzałem z pistoletu. Znaleziono przy niej torebkę z dowodami, walizkę i parasolkę. Zabita nazywa się Irena Rawska, lat 32. Wdowa po lekarzu. Mieszka przy ul. ... prosimy o instrukcje".

Już po godzinie szara „Warszawa" z wielką szybkością pędziła w kierunku miasteczka C. wioząc dwóch pasażerów — kpt. Biernackiego i por. Witkowskiego, którym powierzono prowadzenie sprawy o morderstwo Ireny Rawskiej.

23 lutego był dniem mroźnym, wietrznym. Ziemia była zmarznięta, nie pokryta śniegiem. Oficerowie nie zdołali na niej odnaleźć żadnych śladów. Zdjęto odciski palców z walizki, parasolki, torebki i przesłano do laboratorium. Na podstawie wstępnego wywiadu ustalono, że Rawska mieszkała w C. ponad dziesięć lat. Mąż lekarz zmarł około 4 lata temu.

Rawska prowadziła życie towarzyskie, miała wielu przyjaciół, znajomych, nie tylko w C., ale również w wielu innych miastach. Często wyjeżdżała z C. Uważana była za kobietę bardzo zamożną. Tak zmarły mąż, jak i zmarły wcześniej ojciec pozostawili jej spory majątek — biżuterię, złoto... Ponadto Rawska znająca świetnie język francuski zajmowała się tłumaczeniami dla jednego z regionalnych wydawnictw. Od około trzech tygodni przebywała na wypoczynku w pensjonacie w Zakopanem. Gosposia usługująca jej oraz dozorca domu zeznali, że nie widzieli, aby Rawska wróciła do domu od chwili swego wyjazdu do Zakopanego. Przeprowadzona w mieszkaniu wizja lokalna i rewizja potwierdziły ten fakt. Znaleziono album ze zdjęciami — ot, taki zwykły album, trochę zdjęć rodzinnych, zdjęcia z jakichś wycieczek, urlopów. Trochę korespondencji — głównie zresztą listy od bliskich i dalszych krewnych. W skrytce, w ścianie znaleziono dość znaczną sumę dolarów w złocie i banknotach oraz kilka drobiazgów z osobistej biżuterii.

PENSJONAT

Podczas gdy kpt. Biernacki prowadził dochodzenie w C., próbując ustalić, z kim przyjaźniła się, z kim utrzymywała najbliższe stosunki Irena Rawska, jaki był jej tryb życia, kogo można zaliczyć w poczet jej wrogów — por. Witkowski przebierał się w swój najlepszy filafilowy garnitur. Walizka była już spakowana, a do pensjonatu, w którym ostatnio mieszkała Irena Rawska, powędrował telegram: *„Uprzejmie proszę o zarezerwowanie mi pokoju na tydzień. Jednocześnie telegraficznie przesyłam zaliczkę na koszty pobytu. Ryszard Witkowski".*

Właściciel pensjonatu był nieco zdziwiony przyjazdem nie znanego sobie pana Ryszarda Witkowskiego. Przywykł do stałych klientów — ludzi zamożnych, którzy regularnie raz lub dwa razy do roku od wielu lat spędzali u niego urlopy. Toteż gdy pan Ryszard Witkowski zjawił się w pensjonacie, właściciel bezradnie rozłożył ręce.

— Wszystkie pokoje mam zamówione dużo wcześniej. Bardzo byłoby mi miło gościć pana u siebie, ale pański przyjazd jest tak niespodziewany...

Porucznik jeszcze przed wyjazdem do Zakopanego dowiedział się, że w pensjonacie przebywają zawsze stali klienci — Rawska musiała zapewne do nich należeć.

— Skierowała mnie tu moja dobra znajoma — pani Rawska. Powiedziała, że jeśli się na nią powołam otrzymam pokój na pewno — pan Witkowski uśmiecha się nieśmiało...

— To oczywiście co innego. Oczywiście, oczywiście! Pani Rawska wyjechała w tym roku cały tydzień przed terminem, jej pokój jest jeszcze wolny. Bardzo mi miło, że zechce pan u mnie zamieszkać... Ale a propos, czy nie wie pan, co się stało, dlaczego pani doktorowa musiała wcześniej wyjechać? Zdarzyło się jej to pierwszy raz, choć mieszka u nas od wielu lat. Jeszcze ze świętej pamięci doktorem...

— Ach nic poważnego. Z pańskiego pensjonatu jest bardzo zadowolona, może pan się nie kłopotać — pan Witkowski uśmiecha się znowu...

Pokój, w którym mieszkała Rawska był słoneczny, bardzo wygodnie urządzony. Porucznik przeszukał go dokładnie. Ale nie znalazł nic godnego uwagi.

Po obiedzie, gdy p. Witkowski załatwiał formalności meldunkowe, rzucił przy okazji od niechcenia:

— No proszę, byłbym zapomniał o prośbie doktorowej. Prosiła abym się dowiedział, czy po jej wyjeździe nie nadeszły do niej jakieś listy.

Właściciel spojrzał na porucznika ze zdziwieniem i jakby z przyganą.

— To dziwne. Przecież pani Rawska od czasu śmierci męża nigdy w czasie urlopu nie prowadziła żadnej korespondencji. Zawsze mówiła, że urlop jest po to, aby odpocząć, oderwać się od codzienności, znajomych twarzy. Tu do niej nigdy nie przychodziły żadne listy. To dziwne, że pana o to prosiła, przecież gdyby nawet coś nadeszło, natychmiast odesłałbym do C.

DEPESZA

Późnym popołudniem do okienka na poczcie z napisem „kierownik zmiany" podszedł wysoki, szczupły mężczyzna.

— Bardzo przepraszam, chciałbym się dowiedzieć, czy na nazwisko Irena Rawska nadeszły w przeciągu ostatnich trzech tygodni jakieś depesze, listy polecone.

— A pan z jakiego tytułu o to pyta?

— Jestem porucznik Witkowski z z milicji. Oto moja legitymacja.

— Tak, ale u nas obowiązuje tajemnica korespondencji. Pan nie ma nakazu prokuratorskiego.

— Ja nie chcę zapoznać się z treścią listów. Chcę wiedzieć czy nadeszły.

— Dobrze sprawdzę — odpowiada kierownik.

Po kilkunastu minutach kierownik wraca z odpowiedzią.

— Pani Rawska od kilku lat wynajmuje u nas w czasie swego pobytu w Zakopanem skrytkę pocztową. Ponieważ przyjeżdża co roku, zawsze zatrzymujemy dla niej ten sam numer skrytki. W tym roku otrzymała dwa listy polecone.

— Bardzo proszę o sprawdzenie jeszcze czy wysyłała stąd jakieś listy polecone lub telegramy. Jeśli tak to proszę o podanie adresata i ewentualnej treści telegramu — to przecież nie tajemnica — telegramy to druki otwarte.

Kierownik wraca tym razem po dłuższej nieobecności.

— Owszem, 21 marca pani Rawska nadała telegram do Zbigniewa Ranickiego w P. „Przyjeżdżam do C. 22 o godz. 22.18. Bądź na dworcu".

Porucznik pilnie notuje adres Zbigniewa Ranickiego. Czyżby sprawa była tak prosta? Czyżby tu tkwiła tajemnica? Przy wieczornym bridżu właściciel pensjonatu przedstawia mieszkańcom nowego gościa.

— Pan Ryszard Witkowski — i konfidencjonalnie, ściszonym głosem — polecony przez panią Rawską...

W tym nobliwym, zamożnym towarzystwie obowiązują rekomendacje. Na ludzi „znikąd" patrzy się z nieufnością. Po tej rekomendacji pan Ryszard Witkowski jest jak gdyby „swoim" — człowiekiem z towarzystwa. W czasie gry wysłuchuje komplementów pod adresem swej uroczej, ślicznej, niezrównanie miłej znajomej — doktorowej Rawskiej, oraz ściszonym głosem wypowiadane uwagi mężczyzn: — „Panie, co za kobieta! Ale ani do niej dostąp".

Nazajutrz do pana Witkowskiego przyjeżdża przyjaciel. ...Gdy wszyscy mieszkańcy pensjonatu oddają się rozkoszy białego szaleństwa, leżakują albo odpoczywają w pokojach, „przyjaciel" szybko uwija się po pokojach. Ze stołów, oparć, foteli, klamek zdejmuje odciski palców. Porucznik tymczasem załatwia w biurze meldunkowym spis i adresy wszystkich osób jakie w pensjonacie w przeciągu ostatnich trzech tygodni zamieszkiwały.

Wieczorem pan Ryszard Witkowski zawiadamia właściciela pensjonatu, że niestety został nagle wezwany do domu i musi wyjeżdżać.

Właściciel pensjonatu jest zdziwiony.

— Może był pan z czegoś niezadowolony? Wszystko zostanie naprawione, proszę tylko powiedzieć.

— Ależ nie. Było mi bardzo miło. Pański pensjonat jest wyjątkowo dobry. Jeśli pan pozwoli zostanę pańskim stałym gościem.

Porucznik Witkowski rzeczywiście chętnie by spokojnie popróżnował w jakimś luksusowym pensjonacie. Może tylko nie w tak nobliwie nudnym towarzystwie. Nie dawno zakończył ciężkie śledztwo w sprawie groźnej bandy rabunkowej, a już nowa tajemnica czeka na rozwikłanie.

Wieczornym pociągiem opuszcza porucznik Zakopane.

WĘZŁY ŻYCIA

W czasie gdy porucznik Witkowski „wypoczywa" w luksusowym pensjonacie wśród gór, kapitan Biernacki pracuje od rana do nocy. Na podstawie zeznań znajomych, przyjaciół i gosposi ustalono, że Rawska wyjeżdżając do Zakopanego miała z sobą dwa złote pierścionki z brylancikami w platynowej oprawie, dwa złote zegarki, jeden duży, który zwykła nosić przed obiadem i drugi maleńki z bransoletą z lanego złota, który nosiła wieczorem. Ponadto wiele innych złotych drobiazgów. Wszystko to zginęło. Przy zamordowanej nie znaleziono żadnych kosztowności ani pieniędzy. Nadeszła również odpowiedź z laboratorium.

D. c. n.

łyśmy pochwycić tylko jakieś strzępki rozmowy: „Małe zaczynają przedwcześnie interesować się..." — to mówiła mamusia. Ojciec Isi sapał — zdawało się nam — gniewnie: „Masz twoje klasztorne wychowanie... Zawsze byłem przeciwny... Niewyżyte zakonnice... Nie dość, że źle odżywiają dzieci, to jeszcze rozbudzają..."

Byłyśmy pewne, że rodzice przy najbliższej bytności w klasztorze będą interweniowali w sprawie naszego odżywiania. Internat przecież był bardzo drogi.

Triumfowałyśmy.

Mięso wolno jeść i — zmysły to nie grzech.

Po przyjeździe do szkoły zamierzałyśmy zrobić mięsną rewolucję. Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że taka rewolucja w klasztorze jest czymś łatwym. Przede wszystkim należało się bać każdego kroku, ponieważ wszędzie czyhały na nas grzechy, a ta nasza zamierzana rewolucja to była cała masa grzechów: grzech nieposłuszeństwa w stosunku do przełożonych i starszych, grzech łakomstwa i jakiś jeszcze jeden nieznany nam, a mgliście przeczuwany grzech, który wyobrażałyśmy sobie, przypominając zgrozę w oczach siostry Beaty, wymawiającej słowo „żmyszły". Zaczęły nam się kojarzyć z tym jakieś dziwaczne pytania księdza prefekta na spowiedzi, który — podczas gdy myśmy naiwnie wyszeptywały w konfesjonał, ile razy nie zmówiłyśmy paciorka przed snem, ile razy ściągałyśmy na klasówce — pytał: „A brzydkich rzeczy nie robiłaś? Nie? I nie myślałaś o o nich? A ile masz lat? Jedenaście? A nie dotykałaś rękami nieskromnie swego ciała? Takich miejsc, których przy ludziach wstydziłabyś się dotknąć? Nie pozwalałaś ich chłopcom dotykać?"

Gdzieś tu się nasza rewolucja mięsna i „żmyszły" siostry Beaty i te pytania księdza prefekta ze sobą łączyły, ale wszystko to było ze sobą bardzo dziwacznie poplątane. Zamierzana więc rewolucja w sprawie mięsa, którego domagał się nasz żołądek przez zmysł smaku, powonienia i wzroku, musiała ściągnąć na nas grzechy nie tylko przeciw ustalonemu porządkowi rzeczy w klasztorze, ale zaczepić o jakieś niejasne sprawy, zawieszone między prostotą wypowiedzi mamy Isi a owymi pytaniami księdza prefekta na spowiedzi, między śmiechem brata Isi a oburzeniem siostry Beaty. Ale czy można zrobić jakąś rewolucję bez grzechu, bez naruszenia ustalonego porządku rzeczy? Czy taka rewolucja jest w ogóle możliwa?

Kto miał ją zrobić?

Postanowiłyśmy z Isią, że podwstępniaczek i wstępniaczek nie będziemy w nic wtajemniczały. W naszych oczach były to mikrusy nie dojrzałe do naszego zadania. Starsze dziewczęta? Starsze dostawały pieniądze z domów, mogły za nie przez kogokolwiek kupić w mieście to, czego ich dusza zapragnęła. Dużo ich obchodziła reszta! Rewolucji więc miała dokonać nasza, wybrana, pierwsza klasa. Po to jednak, aby bunt się udał, trzeba było uświadomić całą klasę. Zaczęłyśmy więc szukać sojuszniczek, krzywiących się tak samo jak my nad talerzami z codzienną kaszą, i poszeptywać z nimi: „Dzień w dzień albo kasza, albo kluchy! Wytrzymać już nie można! Mdło się robi! Siostry powiadają, że mięsa nie dostajemy dlatego niby, żeby się w nas zmysły nie rozwinęły. Że niby zmysły to grzech. A ksiądz je mięso! Aha! Powiadamy wam, to cała bujda z tymi zmysłami. Rodzice Isi nam powiedzieli. Więc wiecie dziewczynki co zrobimy? Jeżeli dalej będą tak oszczędzać na naszych żołądkach i karmić nas kaszą to zrobimy kiedyś bunt w jadalni. Odsuniemy talerze i zaczniemy wołać: „Precz z kaszą! My chce-my mię-sa! Mię-sa! Mięsa!" Muszą nam dać. I dadzą nie tylko nam! Całej szkole. Wszystkim klasom. I to będzie nasza zasługa! Tylko ciekawe, co im tak zależy na tym, aby się nam nie rozwijał wzrok, słuch, węch...? Ho, w tym na pewno coś jest. Ale co? — gubiłyśmy się w domysłach. — Wiecie, co zrobimy? Będziemy na złość siostrom w tajemnicy przed nimi ćwiczyć i rozwijać sobie zmysły. Zgoda? Jak? Mamusia Isi nam powiedziała. Pokażemy wam jak się to robi. Tylko tajemnica! Jak na świętej spowiedzi. Niech się nam zmysły rozwijają. Bądźmy zdrowe, normalne, starajmy się dobrze widzieć, świetnie słyszeć, rozróżniać zapachy..."

Ćwiczenia rozpoczęłyśmy najpierw we czwórkę.

Dwugodzinną poobiednią rekreację, jeśli była ładna pogoda, spędzałyśmy zazwyczaj w wielkim klasztornym ogrodzie, pod okiem jednej z sióstr wychowawczyń. Któregoś dnia odbiłyśmy się od całego grona dziewcząt i dałyśmy nurka w gęste krzaki porzeczek. Osłonięte nimi, zaczęłyśmy ćwiczyć: zmysł słuchu, powonienia i dotyku. Zamknąwszy oczy, rozpoznawałam dobiegające nas z boiska głosy koleżanek, kwiaty, które mi podawała do wąchania Isia. Cała rzecz właściwie rozegrała się przy wyrabianiu zmysłu dotyku. Zaciskając powieki wodziłam koniuszkami palców po różnych przedmiotach. Rozpoznawałam grudkę piasku, kamyk, kawałek kory, liść agrestu. Śmiechu było przy tym co niemiara. Musiałyśmy się dobrze nawzajem strofować, aby odgłosy naszych ćwiczeń nie zwabiły którejś z dziewczynek z boiska, lub co gorsza siostry Beaty, dyżurującej tego dnia w ogrodzie. Odgadłam z kolei w czymś małym i chropowatym kawałek zużytej gumy „Myszki", gdy nagle wyczułam w palcach — coś podejrzanego: kosmatego, śliskiego i... poruszającego się! Jednocześnie posłyszałam chichot towarzyszek zabawy. Otworzyłam gwałtownie powieki i — wrzasnęłam! O, Boże, jak ja wrzasnęłam!

Isia wiedziała, jak bardzo brzydzę się wszelkich owadów i robaków. Wiedziała, że, dotknąwszy ich, dostaję niemal szoku nerwowego. I Isia mimo to położyła mi na otwartej dłoni olbrzymią rudą gąsienicę. Wrzasnąwszy, strzepnęłam gąsienicę i — w złości, obrzydzeniu i strachu, krytym i przezwyciężanym nerwowym śmiechem — rzuciłam się na Isię. Odpłacić jej, natychmiast odpłacić! Ale jak? Wiem. Ona nie znosiła łaskotek.

Mówiła, że sprawiają jej ból nie do wytrzymania. Przewróciłam więc ją na plecy, przygniotłam ciężarem własnego ciała i dalej ją skubać! Gdzie popadło, pod pachami, po bokach, po udach. Isia skuliła się, próbowała mnie z siebie zrzucić. Pienęła raz i drugi, osłaniając się łokciami, ale ja, drobniejsza i zwinniejsza, już ją miałam. Dobierałam się do niej ruchliwymi palcami, szepcząc: A masz, a masz! I nie krzycz, bo zwabisz kogoś! Masz! Będziesz mnie robakami straszyć! Ja ci dam!

Dwie koleżanki, ćwiczące z nami, zaśmiewały się, patrząc na nas. Walczyłyśmy dalej po cichu. I w tym momencie... stało się!

D. c. n.

WIESŁAW GÓRECKI

OPTYMISTA DONOSI...

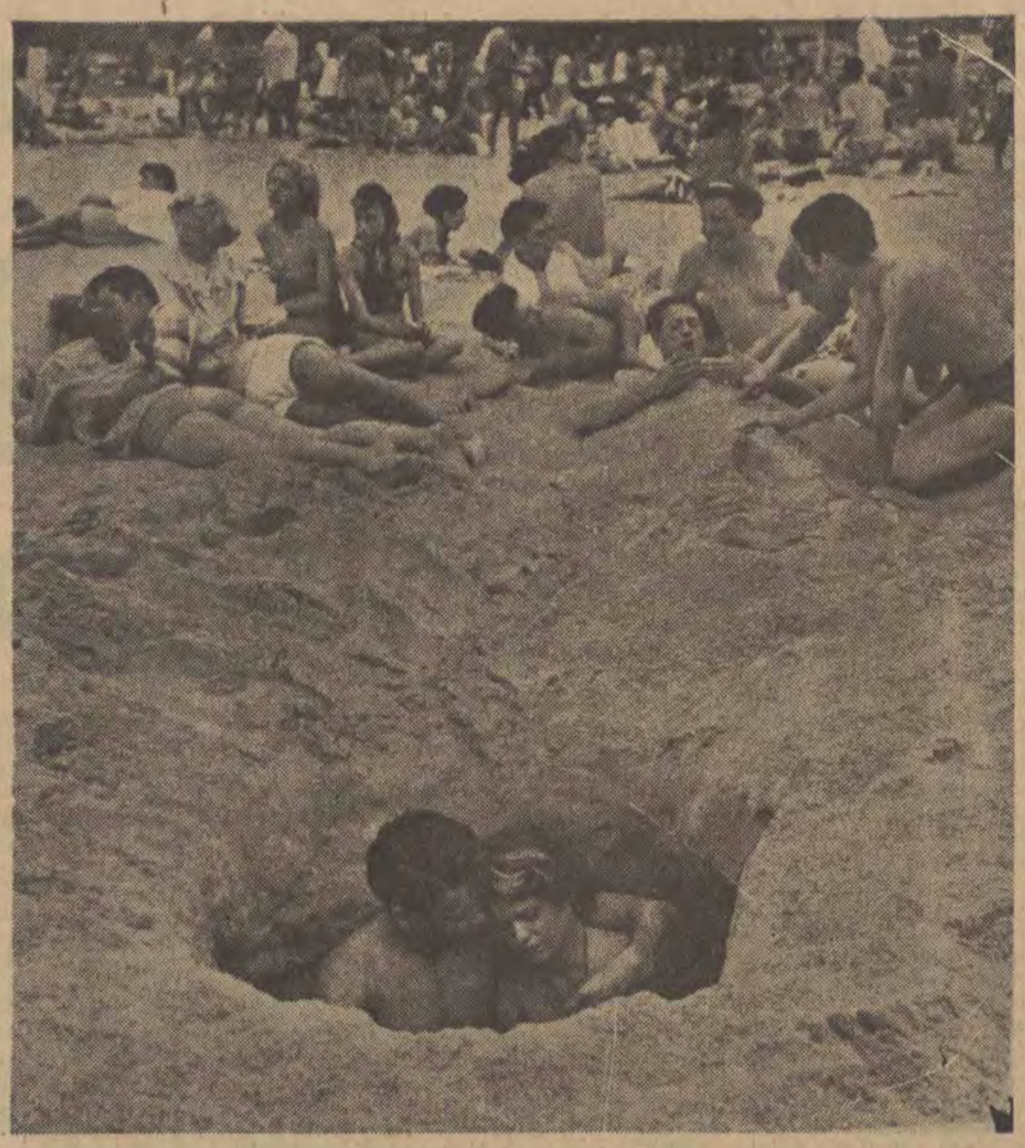

Drogi Redaktorze!

List piszę, aby uprzedzić i zawiadomić. Zawiadomić, że reportażu z życia towarzyskiego w Sopocie nie będzie. A wszystko to przez brak „doskoku". Pan Redaktor pewnie nie wie, co to jest „doskok". To ja wyjaśnię. Otóż w Sopocie panuje moda. Modne są:

— pieniądze (duże)
— panie (małe, blondynki)
— mężczyźni (eleganccy)

A ja, Panie Redaktorze, nic z tych rzeczy. Brak mi nawet pieniędzy na powrót, w związku z czym postanowiłem przedłużyć swój pobyt. (Pan, Redaktorze — zrozumie oczywiście aluzję. Nie musi mi Pan zresztą wysyłać telegramu „aluzju poniał". Wystarczy maleńki przekazik). Ale wracając do „doskoku" — to ponieważ jako rzekłem nie posiadam ani pieniędzy (dużych), ani pani (małej blondynki), ani eleganckiego stroju — nie zostałem dopuszczony do „sfer towarzyskich". To właśnie — Panie Redaktorze znaczy nie mieć „doskoku".

Pragnąłbym również uprzedzić Pana. Przed donosami. Jeśliby Panu doniesiono (to również jest modne, chociaż mniej), że moje usprawiedliwienie, które wyżej podałem, to blaga, że reportażu nie napisałem, bo co noc piłem (napoje wyskokowe), kąpałem się w morzu i flirtowałem (z małą blondynką), to proszę zupełnie, ale to zupełnie nie wierzyć. Zna Pan Redaktor moją prawdomówność?

Skoro już mowa o donosach, to opowiem Panu o najnowszej sensacji Wybrzeża. Wypadek zupełnie bez precedensu.

W 1955 r. pewien pan, nazwiskiem Marian Ziemba skierował do ówczesnego Urzędu Bezpieczeństwa donos, jakoby steward ze statku „Batory" Michał Wojdak usiłował w jednym z portów zagranicznych zbiec ze statku. Na skutek donosu marynarz został ze statku zmustrowany. W trakcie dochodzeń okazało się, że donos pana Ziemby był całkowicie fałszywy, podyktowany zemstą osobistą. Finał sprawy rozegrał się w sądzie. Donosiciel skazany został zarówno w pierwszej jak i drugiej instancji na cztery miesiące aresztu i grzywnę. Zmustrowany ze statku Michał Wojdak zażądał od Ziemby odszkodowania za straty, jakie poniósł nie pływając przez szereg tygodni we flocie handlowej i nie pobierając dodatku dewizowego. Ostatnio Sąd Powiatowy dla miasta Gdańska zasądził od Mariana Ziemby na rzecz Michała Wojdaka kwotę 15.750 zł wraz z odsetkami. Komornik zajął się już wyegzekwowaniem tych pieniędzy od Ziemby. Miejscowa gazeta zaopatrzyła tę wiadomość tytułem **„Donosicielstwo nie popłaca"** i komentarzem **„Donosiciel poniósł zasłużoną karę"**.

Mam nadzieję, Panie Redaktorze, że tę ciekawą wiadomość zechce Pan opowiedzieć tym, którzy będą donosili na mnie. Memento mori.

Ale a propos mody, Panie Redaktorze. Zapomniałem Panu napisać o pewnej bardzo ważnej sprawie. Najmodniejszą knajpą na Wybrzeżu jest „Grand". A w niej przemiły barek, popularnie zwany „U pani Romy". W knajpie jak to w knajpie. Jest najmodniejszy trunek i najmodniejsze tematy. Najmodniejszy trunek — koniak o tak skomplikowanej nazwie, że i nawet napisać nie potrafię. Cenę natomiast pamiętam — 1013 zł. Najmodniejszym tematem — rozmowy o doli zwykłego, szarego człowieka. Pewne towarzystwo rozmawiało na ten temat kilka godzin. Rachunek wyniósł ponad 8.000 złotych.

A ja, Panie Redaktorze, jestem człowiek serio i też chciałbym mieć coś do powiedzenia o zwykłym, szarym człowieku. Więc wkoło plaża, moda, piękne kobiety, szumiące morze, słońce, dancingi, kabarety, a ja uganiam się za szarą codziennością... I muszę powiedzieć, Panie Redaktorze, że jest to wcale ciekawe. Więc zamiast reportażu opowiem Panu parę optymistycznych historyjek.

Kilka dni temu do urzędu pocztowego w Chylonii tuż przed zamknięciem zgłosił się pewien osobnik, chcąc podjąć tysiąc złotych na sfałszowaną książeczkę PKO. Kierownik pod pretekstem załatwiania formalności zwlekał z wypłatą. Polecił zamknąć drzwi i wezwał MO. W tym momencie z toalety usłyszano strzał. Po otworzeniu drzwi okazało się, że osobnik usiłujący podjąć pieniądze zastrzelił się. I co Pan na to, Redaktorze? Do niedawna jeszcze taki osobnik postraszyłby naganem kierownika poczty, „rąbnął forsę" i „bryknął" A teraz uznaje, że postępowanie jego jest niemoralne i sam sobie wymierza sprawiedliwość. Ech, łza się w oku kręci. Co za obyczaje... Porządnieją kochani rodacy. Co, ma Pan w tym względzie wątpliwości? To ja mam więcej dowodów.

Do niedawna co tydzień do gry liczbowej „Jantar" wpływało 600—700 tysięcy odpowiedzi. Interes prosperował jak należy, a dziennikarze popluwali na głupotę grających. Ostatniej niedzieli wpłynęło już niespełna 100 tysięcy kuponów. Z górki na pazurki lub raczej na łeb i szyję. Fachowcy obliczają, że koszty administracji „Jantara" będą wynosiły więcej niż dochody.

Mamy obecnie „tydzień trzeźwości". Prasa doniosła, że wytrąbiliśmy o 3 mln litrów spirytusu mniej niż w tym samym okresie roku ubiegłego. Teraz już chyba— Redaktorze — nie ma Pan żadnej wątpliwości, że narodek trzeźwieje. Jak tu nie być optymistą, Panie Redaktorze?

Nawet Joe z bandy Sokoła pod hasłem „młodzież musi się wyszumieć" wystąpił na łamach „Wieczoru Wybrzeża" z cenną inicjatywą. Chodziło mianowicie o nową ustawę w sprawie chuligaństwa. Joe z bandy Sokoła powiada, że chuligani też są patrioci i dobro ojczyzny jest dla nich dobrem najwyższym. Trzeba ich tylko zostawić w spokoju, bo młodość się musi wyszumieć. Jak tu się nie wzruszać „narodowym frontem moralnym"?

A teraz, żeby już skończyć z optymizmem, opowiem Panu o jednej sprawie, która choć od lat zaprząta światłe umysły „czynników urzędowych" nie znalazła dotąd rozwiązania. Jednak zdaje się weszła właśnie w stadium decydujące... i być może zostanie uregulowana ku zadowoleniu zainteresowanych. Chodzi mianowicie o nonsensy w systemie płac marynarskich. Jak wynika z plotek — pochodzących z dobrze poinformowanych kół oraz z oficjalnych enuncjacji — w najbliższym czasie ma nastąpić przełomowa reforma. Dotychczas płaca podstawowa marynarzy jest faktycznie skromnym dodatkiem do formalnego dodatku dewizowego. Uregulowanie tej sprawy jest bardzo ważne, tak ze względu na emerytury marynarzy, obliczane od pensji podstawowej, jak i z punktu widzenia właściwej oceny zasobów wiedzy i odpowiedzialności.

Marynarze powiadają, że pływanie na tankowcach, to właściwie pływanie na „beczce prochu" po odległych wodach, gdzie nie ma pod ręką straży pożarnej a chroni jedynie własna ostrożność, zabezpieczenia i przemyślność. Na tankowcach panują również niezdrowe warunki życia z uwagi na stale ulatniające się gazy, oraz cały zespół ograniczeń, zakazów, podyktowanych względami bezpieczeństwa.

Tak zwany „miniony okres" sprawił, że np. na stanowiska praktykantów hotelowych (dawniej chłopiec pokładowy lub messboj) drogą protekcji dostali się nie jak to jest w zwyczaju młodzi chłopcy, lecz różni starsi panowie z brzuszkami i siwymi włosami, których miłość do morza objawia się w umiłowaniu dodatków dewizowych, przemytu i nielegalnego handlu. Był to w pewnym stopniu wynik systemu płac, który sprawił, że nie przygotowanie zawodowe i odpowiedzialność stanowiły o wysokości zarobków, lecz sam fakt pływania. Obecnie mówi się o tym, że praktykantami będą mogli być wyłącznie młodzi miłośnicy morza, którzy po roku czy dwóch obejmą właściwe funkcje marynarza, palacza czy też stewarda. Wszystkie te reformy mają być połączone z energiczną walką przeciw tym marynarzom, którzy trudnią się przemytem i nielegalnym handlem. Weszło już w życie zarządzenie o odbieraniu prawa pływania marynarzom, którym udowodniony zostanie przemyt lub nielegalny handel. Podobno zarządzenie to wykonywane jest dość konsekwentnie.

Dyskusje o regulacji płac marynarskich, realistyczna ocena tej sprawy przez czynniki oficjalne napawają wielu mieszkańców Wybrzeża, bezpośrednio tym zainteresowanych, dużym optymizmem.

Ponieważ jednak, zgodnie z zapowiedzią postanowiłem z optymizmem — jako niezdrowym objawem narodowej tramtadracji skończyć — pozwolę sobie, Panie Redaktorze, trochę na czarne, choć z różowym zabarwieniem. Myślę, że postępuję w myśl wytycznych Szanownego Redaktora.

Pan Redaktor oczywiście wie, co to bursztyn. Więc ja chciałem dla swojej dziewczyny kupić jakiś bursztynowy drobiazg (to co napisałem na początku to wcale nie kłamstwo; po pierwsze, nie ma jej w Sopocie, po drugie nie jest mała, a po trzecie— szatynka). W sklepie ekspedient uświadomił mnie, jak bardzo jestem naiwny. Mamy co prawda bursztyn u siebie w Polsce, importujemy go po 12 tys. dolarów za tonę i to z dużymi trudnościami. Pan Redaktor pewnie nie wie dlaczego, bo skoro jest w Polsce...? To Pan Redaktor też naiwny zupełnie tak jak ja. W 1956 r. pod Możdżaniowem odkryto pokłady bursztynu, obliczane na ponad 50 ton. Wszystkie prace badawcze zostały uznane i zatwierdzone przez departament geologii w Warszawie. Więc Pan Redaktor myśli, że już wszystko w porządku? Wolnego, Redaktorze. Aby kopalnia mogła ruszyć, potrzeba według prowizorycznych obliczeń około miliona złotych na dokonanie różnych niezbędnych inwestycji. Na te pieniądze spółdzielnia „Szkło Pomorskie" czeka już ponad rok. A dolarki zamiast płynąć do Polski, spokojniutko z niej odpływają.

Po wysłuchaniu tej historii zdecydowałem, że właściwie dowiedziałem się o szarej codzienności Wybrzeża tyle, że mogę się udać do barku „U pani Romy", znaleźć „doskok" i wymienić trochę myśli (lepszych na gorsze).

I tak napisałem więcej niż Pan Redaktor może zamieścić. Dni morza już się skończyły i tematyka przestaje być aktualna. Pozostaję pełen szacunku w nadziei na pobłażliwość.

MAGDALENA SAMOZWANIEC

ODLECIAŁY BOCIANY...

CHARAKTER Krynicy, której nie widziałam od czasu wojny, zmienił się zasadniczo. Dawniej przyjeżdżały tu mężatki, które gwałtem chciały mieć dzieci, podczas kiedy ich mężowie zamiast brać zastrzyki hormonowe szli piechotą z pielgrzymką do Częstochowy. Ponieważ bogactwo rodzi nudę, a bieda — dzieci, co jest przez fachowców dawno stwierdzone, więc dzisiaj problem ten odpadł zupełnie i do Krynicy przyjeżdżają babusie opierające się na laseczkach albo na własnych dziadziusiach, albo dziadziusiowie o dwóch kulach (jedna kula drewniana, druga murowana — czyli żona lub jak kto woli „pamiątka erotyczna"). Są też panie w leciech ze złotymi loczkami na głowie, które spacerują po deptaku z garnuszkami z dziobkiem, sącząc z nich z poważnymi minami „ofiar reżymu" (reżymu krynickiego) wodę Jana, Mieczysława, Zubera lub Słotwinkę, która działa tak siusiopędnie, że po niej nie radziłabym nikomu iść do kina albo na Górę Parkową z młodzieńcem pod pachę.

O słynnej „Bocianówce" nikt w ogóle tutaj nie wspomina i nie wiadomo, które źródło właściwie nosi tę zabawną nazwę? Znamienne jest również, że niektóre wyrażenia całkiem wyszły z użycia, jak na przykład używane przed wojną określenie „błogosławiony stan". „Błogosławiony"? Przez kogo? Przecież nie przez te udręczone młode kobiety, które mają już tego „błogosławieństwa" zupełnie dosyć i nie pragną powtórnego. Nazywanie dzieci „pociechami" też wyszło zupełnie z użycia. „Kłopot, a nie „pociecha", pani kochana!" — Mamy tu w pensjonacie „Zaiksu" taką jedną „pociechę" z babcią. „Pociecha" ta może odstraszyć wszystkie młode mężatki od „pocieszania" się w ten sposób: gada głośno, maże się — i obrus również — pluje do talerza, gestem królowej, która podejrzewa, że ją chcą otruć, odsuwa talerz z kurczęciem, krzycząc, że zamiast drobiu chce lody — a gdy jej dadzą lody, ryczy: „Ja chcę turcze". — Bezsilna blada babcia, która nie wie, czy przeżyje tę kurację krynicką z wnusią, już nie reaguje na wybryki rozpuszczonej „pociechy". „Jedz, jedz kochanie" — szepcze bezkrwistymi wargami.

— Nie chcem szyneczki — chcem sra! —

— Dobra szyneczka, jedz szyneczkę.. Nie ma serka...

— Chcem sra!

Pulpikan (po skandynawsku „skrzat") zresztą tylko udaje dziecko — jest to w gruncie rzeczy cwana wydra. Gdy któraś z kuracjuszek zwróciła jej uwagę, że nie śpiewa się podczas jedzenia, odpaliła jej dorosłą polszczyzną: — I nie mówi się z pełnymi ustami!

Krynica jest poza tym prześliczna i odbudowuje się w tempie mogącym zarumienić Stolicę. Jacyś zupełnie do rzeczy ludzie pilnują, aby w niesłychanie estetyczny sposób odnawiać stary dom zdrojowy. Będzie cały pomalowany na biało, a wszystkie balkony na zielono, przypuszczalnie tak, jak przed wieloma laty, kiedy nasze matki lub babki jeździły „do wód". Tu powinno się wozić cudzoziemców i robić „wymiany kulturalne", z tym, że przyjeżdżający zagranicznicy nie powinni nikomu patrzeć... na nogi, bo odkąd się „stopa podniosła", buciki tak podupadły, że doprawdy groza przejmuje, gdy się patrzy, co nasze wczasowiczki noszą za obuwie! Już dawno pisałam, że „bieda zaczyna się od nóg..." Niejedną kobietkę stać jeszcze na ozdobienie jako — tako „góry", ale na dół brakuje im już funduszów i to właśnie czyni ten błędny i zaniedbany wygląd naszej publiczności wczasowej. W Krynicy, wśród tej prześlicznej, iście szwajcarskiej dekoracji, specjalnie to się rzuca w oczy.

„W góry w góry, miły bracie! — czyli patrz w góry i do góry, a nie w dół". To można robić idąc, ale gdy się usiądzie na ławeczce, to mimo woli spogląda się na ziemię i wówczas widzi się rzeczy horendalne. Przede wszystkim obcasy: wszystkie kuracjuszki noszą grube, szerokie obcasidła przy zniszczonych pantoflach. Takie, jakich nie ujrzysz nigdzie na świecie, nawet w krajach najbardziej demokratycznych. Te szero-

WIERSZE MŁODYCH

EUGENIUSZ ZARZYCKI

Dojrzewające owoce

Lipcowym słońcem
Na wargach
Spóźnione dojrzewają czereśnie,
A jednak lękam się o nie,
Że jeszcze,
Jeszcze za wcześnie,
Rozśpiewało się suche powietrze
Brzęczącym echem,
Gdy ścieram cienie z Twych powiek
Słabym uśmiechem.
Jak w kwiatach zanurzam palce
W płonącym puchu Twych włosów
Szukając w głębi spojrzeń
Dojrzewających owoców.

ELŻBIETA ZECHENTER

Drzewa i zakochani

Po parku
codziennie
chodzą przytuleni.
Drzewa mówią:
— jak można tak głowę tracić? —
Im zdarza się to tylko raz
w jesieni.

LESZEK WITCZAK

On

Oto człowiek
który należy także
do codziennej panoramy
milionowego miasta

wśród mężczyzn wychodzących na ulice
w jaskrawych popołudniowych wydaniach
wśród kobiet ubranych bez smaku
idzie
myśląc
jak wykpić się z tysiąca trosk Z nerwicy serca
Z cynizmu który stał się niemal comme il faut
dla jego pokolenia Z dziurawych butów
Z ukrywanego starannie niepokoju
o tę drobną zgubioną pośród wielkich sprawę —
życie

jego życie trwa bardzo krótko
od jednego przechodnia
do drugiego przechodnia
od uśmiechu kobiety
do skrzywienia ust

Cóż może więcej on szary przechodzień
niż otwierać pudełka konserwowanych uczuć
niż iść tak z zamyślenia w zamyślenie
i zastygnąć nierzeczywisty
w jakimś ruchu przelotnym w jakiejś śmiesznej pozie

oglądany na filmie
albo w fotoplastikonie

BERNARD SZTAJNERT

Bank

Przeminą ręce, ramiona i twarze.
Wiem, że nie jestem tutaj gospodarzem.
Tragiczna chwila pożegnania z życiem
Jest chwilą ścisłych bankowych rozliczeń,
Gdy oddać muszę drzewom, kwiatom, trawie
Tlen, wodór, węgiel, które dziś dzierżawię.

---

kie obcasiska-kopyta przy odkrytej pięcie, bardzo często wykręcone są w tył. Poza tym, nie wiem co się stało ze słynnymi ongiś ze zgrabności nogami Polek? Wszystkie prawie, które widać na deptaku, są ciężkie, grube, bezkształtne lub krzywe! Czyżby „większa połowa" naszych kobiet pracowała po wojnie wyłącznie nogami?... A może to od stania w kolejkach za cytrynami?

Na brzydkie i bezkształtne nogi dzisiejszych Polek chyba już nic nie poradzimy, ale nasz uspołeczniony handel mógłby pomyśleć o jakimś niedrogim a estetycznym obuwiu, aby ozdobić te kończyny. Panowie! Jeśli już nie dla nas, to pomyślcie o tych nieszczęsnych turystach, którzy będą ku przyjeżdżać. O tych Czeszkach, które zawsze dbają o bucik! i które mogą w swoim kraju zakupić pare ślicznych pantofelków skórzanych za 80, 90 i 100 koron! O tych Węgierkach, które będą na pewno chciały zakosztować uroku „Królowej naszych wód". „Królową mód" nie stanie się Krynica nigdy, ale niech przynajmniej nie razi zmysłu estetycznego naszych sąsiadów, jak chodzi o to, „na czym kto chodzi".

Poza tym w Krynicy jest wsio OK! Jest dużo uroczych kawiarenek z dobrą kawą „po turecku" — jest cudny widok z „Parkowej Góry" i dancing z bardzo dobrym jazzem. Jedno tylko zastrzeżenie. Przed przybyciem zagranicznych turystów należałoby zdjąć napis na tabliczce, który brzmi: „Na tym miejscu zabrania się handlować!" — Bo i co sobie pomyślą? Że inaczej byłaby tutaj wystawa ciuchów? Chyba nie chodziło o góralkę z mlekiem lub śmietaną albo ze szklaneczkami poziomek? Góralka nigdy jeszcze pejzażowi górskiemu nie zaszkodziła, nawet gdyby sobie zarobiła tych kilka marnych groszików. Nie bądźmy takimi formalistami, pomyślmy raczej o b u t a c h.

JAN KOPROWSKI

REFLEKSJE ZE ZJAZDU TŁUMACZY

Zawód tłumacza literatury pięknej jest w społeczeństwie po pierwsze: mało znany, a po drugie (co jasno wynika z poprzedniego) nie doceniony. Czytelnik biorący do ręki utwór pisarza obcego, nie zwraca na ogół uwagi na nazwisko tłumacza i nie zastanawia się nad tym, czy dana rzecz została dobrze czy źle językowi polskiemu przyswojona. Tłumacz więc wiedzie żywot absolutnie anonimowy.

Pół biedy, gdy takie mniemanie o pracy tłumacza (tzn. brak wszelkiego mniemania) posiada codzienny pożeracz literatury, konsument zważający jedynie na ilość, nigdy albo rzadko — na jakość „spożywanej" strawy duchowej. Gorzej, jeśli podobną opinię spotykamy w kręgach intelektualnych, a nawet wśród samych pisarzy.

A przecież dobry przekładowca literatury obcej to niejako współtwórca przyswajanego danej kulturze dzieła. Od niego w dużej mierze zależy oddanie wszystkich piękności i uroków oryginału, on przeszczepia ową roślinę z jednego gruntu na drugi i jakże często decyduje o tym, czy roślina się przyjmie, czy też uschnie i zginie. Przywołajmy tu na pamięć wybornego tłumacza literatury francuskiej Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Kto wie jak wyglądałby dziś nasz stosunek do piśmiennictwa francuskiego, gdyby nie kongenialne przekłady Boya, ujawniające całe jego piękno, wdzięk i wartość.

W tych warunkach I Międzynarodowy Zjazd Tłumaczy Literatury Pięknej, zorganizowany w Warszawie z inicjatywy PEN-Clubu polskiego, nabrał poważnego znaczenia.

Dla nas, Polaków, zjazd ten ma znaczenie szczególne. Wiemy dobrze, że zarówno język nasz jak i nasza literatura nie są zanadto znane na zachodzie (i nie tylko na zachodzie) Europy i nigdy nie dość popularyzowania i propagowania polskiego piśmiennictwa wśród cudzoziemców. Zjazd Tłumaczy, odbywający się w Warszawie, dał doskonałą sposobność po temu, by pisarzy obcych zainteresować naszą kultura i sztuka. Zwłaszcza, iż wśród zaproszonych gości było co najmniej kilkunastu tłumaczy z języka polskiego.

Toteż poza normalnym programem obrad, w toku których omawiano i dyskutowano takie problemy, jak a) rola tłumacza literatury pięknej w kulturze współczesnej i zbliżeniu między narodami, b) problemy zawodowe tłumaczy, c) problemy sztuki i teorii przekładu, d) środki i sposoby pogłębienia międzynarodowej wymiany literackiej — organizatorzy zjazdu zatroszczyli się o to, by tłumaczom literatury polskiej ukazać wszystko, co godne zobaczenia oraz zapoznać ich z najnowszą produkcją literacką (świetnie służyła temu celowi zorganizowana jednocześnie w Pałacu Kultury i Nauki wystawa książek wydanych przez polskie wydawnictwa literatury pięknej).

W licznych spotkaniach i rozmowach kuluarowych ludzie ci mogli nawiązać wiele kontaktów, a wreszcie zaopatrzyć się w dodatkowe pomoce (słowniki, leksykony) do pracy przekładowej. Przyjemnie było spotkać na zjeździe tłumaczy naszej literatury z Anglii, Danii, Niemiec, Bułgarii, Czechosłowacji, ba! nawet z dalekich Indii i Japonii. Ileż razy zdarzało się, że nie znając poszczególnych tłumaczy zaczynaliśmy z nimi rozmowę w języku obcym, a oni odpowiadali nam najczystszą polszczyzną. Arcymiła niespodzianka!

Wydaje się, że obecnie sytuacja nasza na tzw. rynku międzynarodowym jest bardzo korzystna i należy zrobić wszystko, by szansy tej nie zmarnować. Ilość tłumaczy interesujących się literatura polską wzrasta, a i poziom artystyczny przekładanych na języki obce utworów naszych podnosi się nieustannie. By jednak nie zniechęcić czytelnika zagranicznego do literatury polskiej, należy dawać mu dzieła jak najlepsze, jak najbardziej wartościowe, o nieprzemijającej z dnia na dzień wartości. Z poprzedniego okresu mamy do zanotowania wiele błędów w tej dziedzinie. Jakże często propagowano za granicą utwory mierne, o użytkowej, wyłącznie agitacyjnej treści, które mało kogo mogły przekonać w kraju, a cóż dopiero poza jego granicami.

W miarę możności należy również przychodzić tłumaczom naszych książek z daleko idącą pomocą. Na przykład: zapraszać ich często do Polski, zaopatrywać w wydawnictwa itp. A i tak może się zdarzyć, że ktoś powodowany najlepszymi intencjami, odda naszej kulturze za granicą niedźwiedzią przysługę. Jak na przykład, zasłużony i nieoceniony znawca języka polskiego Paul Cazin, który przełożywszy „Pana Tadeusza" na francuski p r o z a odebrał arcydziełu Mickiewicza cały wdzięk i walor poetycki i czytelnik francuski bardzo się dziwił, że tak nudne opowiadanie należy do pomników naszej literatury narodowej.

Słowem: trudności i przeszkód w popularyzowaniu naszej literatury za granicą nigdy nie zabraknie. Chodzi o to, byśmy nasza polityka i działalnością nie pomnażali ich, lecz przeciwnie — likwidowali je do minimum. Myślę, że PEN-Club polski, mający za sobą tyle lat praktyki i doświadczenia, potrafi wiele zrobić dla poprawienia naszej sytuacji na rynku przekładowym.

Zjazd Tłumaczy był pięknym świadectwem jego możliwości w tym względzie.

Streszczenie z poprzednich numerów:

Pod wodzą tajemniczego Czarnego Matwieja grasuje zgraja zbójców. Szykuje się do napaści na barona Caruso-Hydrargir, uwodziciela, recenzenta muzycznego, obszarnika i mistrza sztuki chirurgicznej w jednej osobie. Zanim się rozwiąże nić miłosnej intrygi, zapoznajmy się z nową garścią tych prawdziwych klejnotów naszej sztuki librettowej. Zwracamy uwagę czytelników na niezwykle oryginalną arię „Jam nie jest bacą, piękny aniele".

CHÓR ZBÓJCÓW

Wśród borów, lasów nie siejem ni orzem
a jednak żyjem dostatnio
my straszni bandyci
w szałasach ukryci,
którzy pijem krew bratnią.

CZARNY MATWIEJ
(dysząc żądzą krwi aż do zadyszenia się i kaszlu).

Pijem, pijem krew bratnią.

CHÓR ZBÓJCÓW

My nieraz nie jadam,
a jednak my żyjem,
a jednak żyjem w swych lasach,
my straszni bandyci,
w szałasach ukryci,
którzy żyjem w swych lasach.

CZARNY MATWIEJ

Żyjem, żyjem w swych lasach.

CHÓR ZBÓJCÓW

My nieraz nie jadam i nieraz nie żyjem,
a jednak wisim na sznurze,
my straszni bandyci
w szałasach ukryci,
którzy wisim na murze.

CZARNY MATWIEJ

Wisim, wisim
na murze.

CHÓR ZBÓJCÓW

Wisim na górze,
Na sznurze wisim
i nic nie mówiąc cisim.

CZARNY MATWIEJ
(wyciąga z zanadrza twarz niesamowicie pięknej kobiety i wpatrując się w nią śpiewa):

Jam nie jest bacą, piękny aniele,
i tyś, aniele, nie bacą.
Jeśliś nie bacą, więc po co, na co
śpiewać, że ktoś jest bacą...
Śpiewać te trele morele?
Jam nie jest bacą, tyś nie jest bacą,
i wyście nie są bacami
Gdy nikt nie bacą to po co, na co
Śpiewać, że ktoś jest bacą...
Lepiej, Bambino, daj krzynkę chleba...
Ach, nie! na bułkę go zamień...
bo tak mnie dzisiaj w żołądku gniecie
jakbym zjadł jaki kamień.

ZBÓJCA BAMBINO

Ach, jak to szefa żołądek boli,
jak bolą nerki, wątroba...
Cruento, proszę, podaj choremu
kropelki Inoziemcowa.

CZARNY MATWIEJ

Precz! Precz z kroplami! Bierzcie buławy,
dziś Władis Tremolo ma solo.
Dzisiaj porąbiem ciało Carusa
i posypiemy je solą.

CHÓR ZBÓJCÓW

Brzuch albo czoło,
kryć się pod szafy,
życie to worek grochu,
który rozsypiem w dzikim popłochu,
rozprujem wszystkie kanapy.

SŁOWO WIĄŻĄCE

Tymczasem nie przeczuwający niczego...

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI ŚWIATA

WYDANIE SPECJALNE

wojsko

Istnieje pewna pula „żelaznych tematów", do których zawsze chętnie sięgają autorzy żartów rysunkowych w różnych krajach świata. Bezludna wyspa, fakirzy, kraksy samochodowe, dowcipy o zwierzętach, latających talerzach, policjantach — oto niektóre z tematów „żelaznych". No i oczywiście — wojsko! Dla rysownika — życie koszar, dyscyplina, ba, nawet umundurowanie i broń — to ciągle nie wyczerpana kopalnia pomysłów.

Przeważnie zresztą żarty te nie są wymierzone w prestiż sił zbrojnych. Rzadko mają posmak satyryczny, czasem tylko znajdziemy w nich drwinę z wybujałych ambicji wyższych szarż, czasem z przesadnych rygorów i regulaminów. Daleko tu jednak do zjadliwości takiego np. Jarosława Haszka.

Najwięcej kpiny zawierają rysunki Francuzów. Armia francuska ma zresztą swojego kronikarza, znakomitego Bosca, który niemal wszystkie swoje rysunki poświęca tematom wojskowym. Bosc dość wyraźnie przeprowadza linię podziału między szeregowcami a korpusem oficerskim, przy czym jego sympatia jest po stronie prostych żołnierzy.

Dla rysowników angielskich życie wojskowe jest tylko swobodnym pretekstem dla znalezienia nonsensownej sytuacji — dla tak ulubionego przez Brytyjczyków żartu absurdalnego.

Niemcy — przedstawiają żołnierzy, jako pogodnych spryciarzy, którzy dają sobie radę w każdej sytuacji. Mowa tu o rysownikach zachodnio-niemieckich, bo w NRD mało się pojawia żartów na temat wojska.

Sporo rysunków o armii wydrukowała ostatnio prasa radziecka, są to jednak przeważnie rysunki zdecydowanie satyryczne, wytykające poszczególne przywary niektórych żołnierzy.

Włosi — ukazują swoich wojaków jako zabawnych, sympatycznych niezdarów, po prostu — umundurowanych cywilów.

Amerykanie — zdumiewające!, ale w USA bardzo rzadko pojawiają się dowcipy na temat wojska. Trudno rzec dlaczego się tak dzieje.

A polscy rysownicy? Do niedawna wojsko było tematem „tabu" — żarty o żołnierzach są nadal nieliczne. Ale czy ustępują dowcipom zagranicznym? Oceńcie sami.

J. W.

Rys. Frez (Francja)

Gus (Francja)

Bosc

— Do nogi — broooń!

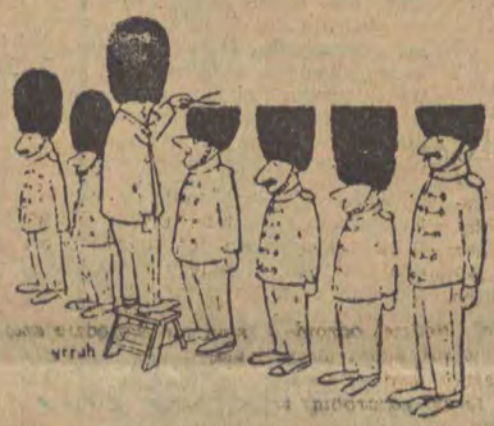

Yrrah (Anglia)

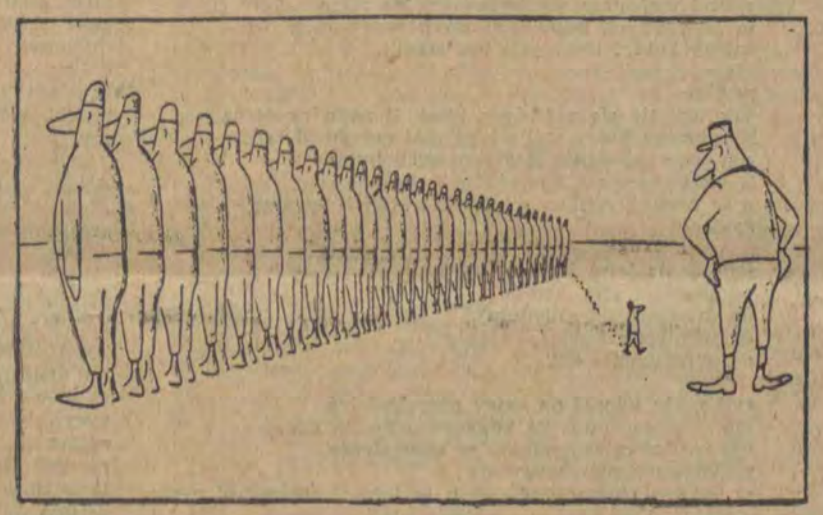

Bosc

Rys. Sic (NRF)

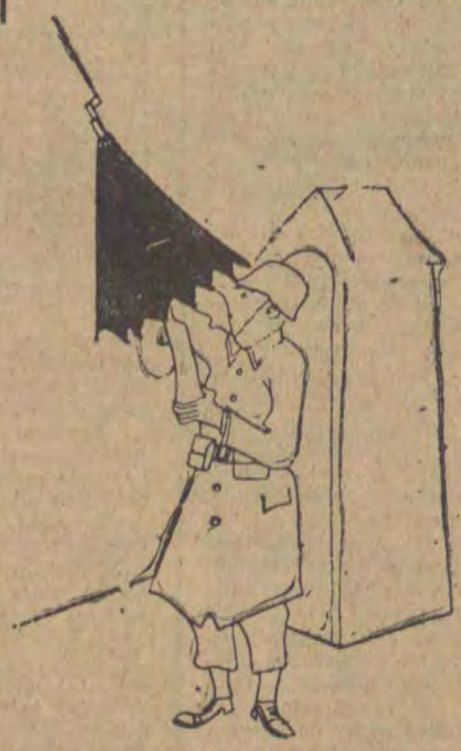

Rys. Scarpetti (Włochy)

Bosc

Rys. J. Smólski (Polska)

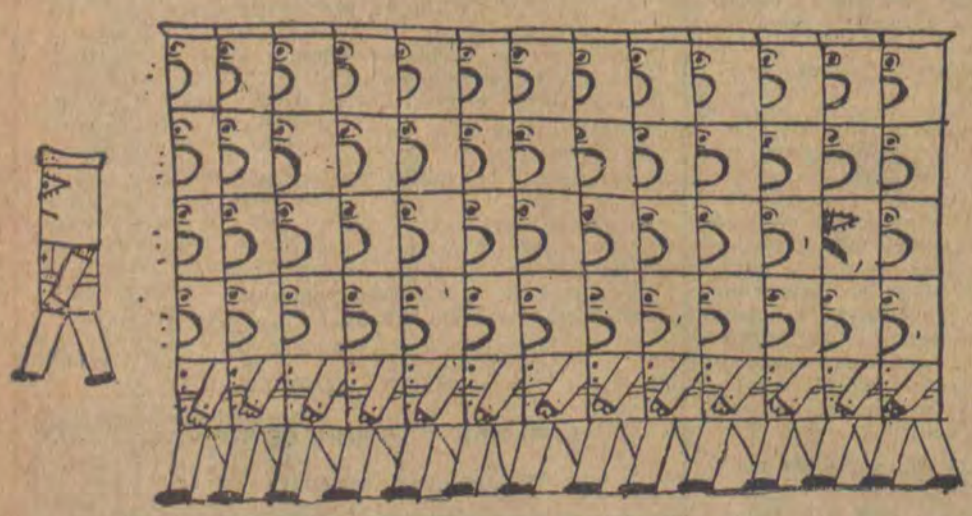

Rys. Adam Macedoński (Polska)

Rys. L. Kałuża (Polska)

Rys. Ibis-Gratkowski (Polska)

Tajniki wywiadów, gabinetów i wydarzeń XX wieku

POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA"

Część XIII

OSCAR LINDAY

OPERACJA MADANG

Skalisty front — W wąwozie — Spadochrony nad doliną Ramu

Jakkolwiek Nowa Gwinea była zwartym kontynentem, działania na niej bardziej przypominały skoki z wyspy na wyspę, niż lądowy marsz. Sprawiły to wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju warunki geograficzne. Papua i północno-wschodnie tereny Nowej Gwinei Australijskiej przecięte były trzema pasmami górskimi: Owena Stanleya, Bismarcka i Finisterre. Każdy z tych masywów górskich przekraczał 4.000 m wysokości. Góry były dzikie, niedostępne. Brak dokładnej dokumentacji kartograficznej praktycznie wykluczał możliwość prowadzenia działań. Japończycy umiejętnie wykorzystywali naturalne udogodnienia obrony. Sprawiło to, że po wielu miesiącach morderczych i żmudnych ataków na linii Buna—Salamaua, Amerykanie zostali zmuszeni do zastosowania taktyki desantowej powietrzno - morskiej, przerzucając swoje oddziały bezpośrednio do dolin, w których można było dopiero prowadzić skuteczne operacje zaczepne.

Po stracie Salamaua, Lae i Finschhafen, Japończycy, chociaż odepchnięci od wybrzeża Zatoki Huon, umocnili się jednak na szerokim froncie długości ponad 250 km od południowo-wschodnich stoków Finisterre do gór Bismarcka, poprzez łączący je masyw górski wysokości 3.700 m. Masyw ten zamykał od południa długą, kiszkowatą dolinę rzeki Ramu, przeciskającą się między górami Bismarcka i Finisterre. Dolina była jedyną drogą do Madangu — najważniejszego japońskiego portu w północno-wschodniej Nowej Gwinei. Wzdłuż swojej linii obronnej Japończycy stworzyli pas prowizorycznych górskich fortyfikacji, mogących śmiało konkurować z niemiecką „linią Gustawa" we Włoszech.

* * *

Porucznik Galward obserwował właśnie podejrzane zwalisko głazów, kiedy nagle pocisk karabinowy strzaskał mu okular peryskopu. Odrzucił bezużyteczny już przyrząd i spojrzał bezradnie na swoich ludzi.

— No, cholera, przyjdzie nam znów siedzieć w tej dziurze z tydzień — stwierdził Mick.

— Tak zrąbali przecież ten wąwóz! Dałbym sobie łeb odciąć, że rajskie ptaki szlag trafił — a Japi są!

— Pewnie podpełznęli zaraz po bombardowaniu, zanim myśmy tu przyszli.

Gwar głosów dotarł widocznie do japońskiego stanowiska, bo z bliska trzasnął karabin maszynowy, a pociski uderzając w narożnik wykuszu skalnego obsypały amerykańskich żołnierzy gradem drobnych kamyków.

— Ostrzegają, co? Joe, spróbuj strzelić z garłacza — Galward wskazał kierunek, gdzie podejrzewał miejsce japońskiego bunkru — będzie jakieś 80—90 metrów. Nawet dokładnie tyle. Gdyby było bliżej, rzuciliby granaty ręczne. A o 100 metrów wąwóz znów zakręca. Strzelaj trochę wyżej i na rozprysk.

Joe strzelił. Pocisk eksplodował głucho i odbił się zwielokrotnionym echem o ściany wąwozu. Ale widać bez skutku, bo japoński kaem odpowiedział po chwili długą serią.

— G...! Słuchaj, Mick, skocz po drugi peryskop, trzeba ich dokładniej rozpoznać.

To już chyba czwarty peryskop, Galward! Przecież wczoraj ustrzelili ci dwa.

Mick pobiegł do tyłu, a dwóch ludzi z „Tomiganami" przeskoczyło na drugą stronę wąwozu i przywarowali za wielkim głazem. Stąd mieli zabezpieczać pozycję plutonu przed ewentualnym kontratakiem Japończyków, który byłby o tyle niebezpieczny, że umożliwiał bezkarne podejście na odległość rzutu granatem ręcznym.

Przedwczoraj Galward stracił w swoim plutonie 12 ludzi. Prawie w identycznych okolicznościach. Posuwali się „na pewniaka" wąwozem tuż po bombardowaniu i ostrzale artyleryjskim — i niespodziewanie wleźli na japoński bunkier. Najgorsze było to, że nie mogli się już wycofać. Gdyby nie to, że Japończycy zniecierpliwieni kilkugodzinnym oczekiwaniem na następny atak, sami spróbowali atakować — co zakończyło się ich porażką — Galward i reszta jego ludzi figurowaliby już na liście zaginionych.

Tymczasem Mick przyniósł peryskop. Odbyli krótką naradę. Galward położył się i wystawił peryskop bokiem, tuż przy ziemi. Japończyk milczał, trzeba było go sprowokować. Ktoś rzucił więc granat, a trzech innych równocześnie wystawiło na lufach „Tomiganów" hełmy. Japoński kaem zajazgotał. Galward teraz wyraźnie widział wężyk ognia wśród zwaliska głazów.

— Przygotować miotacz!

Uwijali się szybko. Green w azbestowym skafandrze, z bańką miotacza na plecach, położył się koło Galwarda i przejął peryskop.

— Widzisz?

— Tak, nie są zakryci. Obrzygam ich na wprost.

— Ale płomienia nie rób od razu, bo możesz chybić!

Galward znów przejął peryskop, a Green ostrożnie wysunął rurę miotacza osadzoną na elastycznym wężu.

— Gotowe!

— Dobra, pluj!

Wypchnięta sprężonym azotem mieszanka trysnęła jak z sikawki strażackiej. Galward widział strugę rozpryskującą się wokół japońskiego bunkra.

— Zapalaj!!!

Trzasnął zapalnik i ciecz zamieniła się we wstęgę ognia. Bunkier japoński płonął.

Wtedy Joe i jeszcze jeden z „Remingtonem" wyskoczyli zza skały i na oślep walili w kłęby dymu. Kilku biegło tuż przy ścianie wąwozu i strzelając ciągle podeszli ostrożnie do bunkra. Za barykadą z głazów leżały sczerniałe zwłoki czterech Japończyków.

* * *

Meldunki napływające do sztabu operacyjnego w Salamaua znów potwierdzały starą regułę: japońska obrona wytrzymuje. Gdzieniegdzie udawało się oczyścić fragment wąwozu, czy zdobyć jakieś wzgórze, ale były to sukcesy o charakterze lokalnym. Dostęp do doliny Ramu był nadal szczelnie przegrodzony i opór nieprzyjaciela na tym odcinku cechowała szczególna zaciętość i nieprzejednanie.

Dopóki Madang pozostawał w rękach japońskich, stanowił on zabezpieczenie zachodniego skrzydła frontu przebiegającego od Wysp Salomona (gdzie w tym czasie trwały wciąż jeszcze walki), poprzez Nową Irlandię i Nową Brytanię i dalej na zachód przez Molukki i Indonezję. Utrzymanie ciągłości tej linii decydowało nie tylko o możliwości utrzymania się Japończyków w strefie Morza Koralowego, ale przede wszystkim, uniemożliwiając Amerykanom wyjście na otwarty Pacyfik, spełniało ich podstawową koncepcję: obrony na dalekim przedpolu. A przedpole było istotnie dalekie: do Tokyo pozostawało 6 tysięcy kilometrów. Z wyjątkiem epizodycznego ataku bombowców w kwietniu 1942 r. — do tej pory żaden bombowiec amerykański nie naruszył spokoju macierzystych wysp japońskich!

Amerykanie posunęli się wprawdzie kilkaset kilometrów (w przeciągu półtora roku!), to jednak wciąż cała kampania na Wyspach Salomona i Nowej Gwinei miała charakter wyodrębnionego obszaru wojennego i trudno było dojrzeć w tych walkach realizację planu generalnej ofensywy. Odmierzano tylko mile, gęsto usiane poległymi. Żadnych rewelacji.

Dla rozproszenia obrony japońskiej zdecydowali się Amerykanie na bezpośredni atak w centrum frontu: na Nową Brytanię. W tym celu opanowali wyspy Kirlwina i Woodlark w Archipelagu Triobriandzkim i 15 grudnia 1943 r. wylądowali na Nowej Brytanii. I tu opór japoński usztywnił front. Osiągnięto jednak ten sukces, że obszar Nowej Brytanii wchłonął natychmiast większość rezerw japońskich.

Wówczas postanowiono zadać ostateczny cios operacją desantową na Madang, wyjść na Morze Nowo-Gwinejskie i po opanowaniu Wysp Admiralicji odciąć cały rejon Morza Koralowego, przełamując linię japońskiego frontu.

W drugiej połowie grudnia 1943 roku spadochroniarze amerykańscy, omijając górską linię obronną wylądowali na północ od Kaiapit, u wlotu do doliny Ramu. Lądowanie odbyło się prawie bez przeszkód. Oddziały w sile dywizji zostały wzmocnione przerzuconymi również drogą powietrzną działkami i wozami pancernymi i pod silną osłoną lotniczą rozpoczęły pochód na Madang. Opór japoński narastał, ale 2 stycznia 1944 r. Amerykanie zrzucili drugi potężny desant około 60 km na południe od Madangu. Oddziały posuwające się doliną Ramu połączyły się 6 stycznia z nowym desantem. Japońskie formacje broniące gór Finisterre zostały odcięte, a połączone siły amerykańskie uderzyły na Madang.

Japończycy zdołali jednak odzyskać równowagę i wycofując się z gór Bismarcka, rozpełzli po całym północnym wybrzeżu Nowej Gwinei, czyniąc z Madangu wysuniętą placówkę głęboko urzutowanego frontu. Amerykańskie natarcie na Madang załamało się.

Pomimo to zdołali Amerykanie zająć mały port Bogadiimo ok. 40 kilometrów na południe od Madangu, uzyskując wyjście na Morze Nowo-Gwinejskie i osiągając w ten sposób zasadniczy cel ataku: przełamanie japońskiej obrony w strefie Morza Koralowego. Ten bezsporny sukces, jakkolwiek nie uwieńczony zdobyciem najważniejszego punktu, przyspieszył jednak radykalnie dalszy rozwój wypadków.

Za tydzień:

TRIUMF NOWEJ TAKTYKI

Czasy

MEDAL DLA PANA JOSEPHA CONRADA

Oficer brytyjskiej admiralicji Ewen Montagu należy do tych bohaterów minionej wojny, o których zazwyczaj nic się nie wie. Gdy w roku 1944 królowa odznaczała go najwyższym orderem — Orderem Imperium Brytyjskiego, padło pytanie, gdzie zasłużył na tak wysokie odznaczenie. Montagu z angielską flegmą odpowiedział:

— W gmachu admiralicji, najjaśniejsza pani.

Po wojnie Montagu sięgnął po pióro i tak powstała ciekawa książeczka przełożona dziś już niemal na wszystkie języki europejskie. W języku polskim nosi ona tytuł — „Człowiek, którego nie było". Jest to beznamiętna relacja o pewnej akcji kontrwywiadu angielskiego w czasie minionej wojny, akcji, którą realizował Ewen Montagu.

Cofnijmy się do roku 1943. Niemcy ponieśli klęskę w Afryce Północnej i oczekują na inwazję. Wywiad niemiecki właśnie odkrył przygotowania do niej, zakrojone na olbrzymią skalę. Gdzie wyląduje w pierwszym rzucie brytyjsko-amerykański desant? Gra potoczy się o Włochy, ale czy pierwsze uderzenie nastąpi na samym półwyspie, czy też alianci zechcą zdobyć którąś z wysp — Korsykę, Sardynię, Sycylię? — by z niej dopiero zaatakować kontynent? Rezydenci wywiadu niemieckiego gorączkowo zabiegają o informacje w tej sprawie.

Wtedy właśnie wywiad angielski postanawia wprowadzić Niemców w błąd. Niemal w przededniu operacji desantowej morze wyrzuca na brzeg Hiszpanii zwłoki oficera brytyjskiego — łącznika między sztabami na Wyspie i w Afryce. Ze znalezionej przy nim poufnej korespondencji dwóch generałów brytyjskich wynika, iż przygotowuje się desant na Sardynię. „Neutralni" Hiszpanie przekazują oczywiście tę wiadomość natychmiast niemieckiemu wywiadowi. W Berlinie badają nieufnie fotokopię znalezionych dokumentów, lecz mistyfikacja jest tak precyzyjna, iż nawet podejrzliwi sztabowcy z Unter den Linden nabierają przekonania, że szczęśliwy los nad nimi czuwa, że Opatrzność dała im znak, który zadecyduje o zwycięstwie. „Gott mit uns!"

I sztab niemiecki przegrupowuje wojska po to, by nie dopuścić do lądowania na Sardynii. Wywiad brytyjski śledzi te przygotowania z zapartym tchem. Skuteczność mistyfikacji jest nawet dla samego Montagu niespodzianką: Niemcy po paru dniach odsłaniają całkiem Sycylię, gdzie wkrótce, prawie bez strat lądują pierwsze oddziały desantu.

Ze wspomnień Ewena Montagu dowiadujemy się o szczegółach tej akcji wywiadu brytyjskiego. A więc zwłoki przebrane w mundur oficera brytyjskiego pozostawiła u wybrzeży hiszpańskich angielska łódź podwodna. Nikt w tej operacji nie stracił życia, bowiem zwłoki pochodziły z kostnicy. Młody człowiek, który umarł na serce i zapalenie płuc w jednym ze szpitali na Wyspie, został ubrany po śmierci w mundur, którego za życia nigdy nie miał na sobie. Oczywiście, Niemcy szczegółowo zbadali zwłoki, ale przyczyny śmierci mogły być również rezultatem parudniowej walki o życie w falach oceanu. Dokumenty znalezione przy zwłokach znikły tylko na jedną noc, po czym zwrócono je konsulatowi brytyjskiemu. Ich fotokopie powędrowały do Berlina.

Tyle dowiadujemy się z ciekawych wspomnień Montagu. A odkładając jego książkę doznajemy niepokojącego uczucia: już kiedyś podobną historię czytaliśmy. Była ona opowiedziana inaczej, tchnęła romantyzmem, lecz pomysł — a on jest przecież najważniejszy — był identyczny. I podobna była sceneria opowieści: rzecz działa się na wzburzonym, niespokojnym morzu. Tak, oczywiście, to Joseph Conrad wpadł na pomysł, za który Montagu z rąk królowej dostał najwyższe odznaczenie!

Nie wiemy, czy pracownicy brytyjskiego wywiadu są wielbicielami książek Conrada. W wypadku Montagu nie jest to wykluczone, bo Conrad to przecież najpopularniejszy angielski pisarz marynista. Można przypuszczać, że oficer admiralicji czytał jego książki, a więc również i „Korsarza". A właśnie na kartach „Korsarza" dzieje się historia tak bardzo przypominająca akcję, opisaną we wspomnieniach Montagu. Sięgnijmy po tę książkę, przeczytajmy scenę wyścigu angielskiej fregaty patrolującej z rozkazu lorda Nelsona brzegi Francji z kutrem starego Peyrola. I tę scenę, gdy po tragicznej i bohaterskiej śmierci starego korsarza, wręczają Nelsonowi pakiet z depeszami znalezionymi na kutrze. Depesze te są identyczną mistyfikacją, jakiej po latach dokonał Ewen Montagu. A kapitan fregaty na pytanie Nelsona odpowie:

— Te ciekawe informacje zdobyłem przypadkowo. Po prostu los szczęścia.

Oto zdanie, jakie mógł wypowiedzieć i ów rezydent niemieckiego wywiadu, który pierwszy wpadł w sieci zastawione przez pana Montagu. No cóż, widać szwab nie czytywał Conrada, sam sobie jest winny!

Na zakończenie jeszcze refleksja utrzymana w duchu dociekań z rodzaju „Słoń a sprawa polska". Jakaś cząstka zasługi, przypisywanej panu Montagu winna przypaść w udziale Conradowi. Cóż nam szkodzi wierzyć, że to nasz rodak, Conrad, wymyślił ów podstęp wojenny, a pan Montagu przystosował go tylko w roku 1943 do aktualnej sytuacji.

A więc — medal dla Josepha Conrada!

STEFAN MICHAŁOWSKI

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

Była połowa maja. Opactwo sulejowskie widniało z dala jak zielona kępa. Ponad szerokie korony drzew wystrzelały ostre kolce baszty opackiej i wieży krakowskiej, niżej wśród zieleni prześwitywał fragment muru obronnego. U stóp łagodnego wzniesienia, na którym mieścił się klasztor, płynęła rzeka pełna złotych mielizn i łach; na niskim brzegu u wodopoju brodziło bydło, a na piaszczystą łachę rybacy wyciągali sieć obwieszoną kroplami wody.

Nataniel, nie pytając mnie o zgodę, zajechał swym samochodem wprost na podwórzec klasztoru i zatrzymał auto przed wejściem do maurytańskiej wieży. Zaraz też wybiegła do nas „Babie lato", a później wyszedł Bogumił W. w kitlu zbrukanym farbami.

Prawda o przyczynach naszego przyjazdu wyglądała jak niewymyślne kłamstwo. Dlatego mistrz wyznał prawdę:

— Chcemy poszperać w starych dokumentach Sulejowa. Namówiłem Tomasza, abyśmy przy sposobności wdepnęli do przyjaciół. Zawsze interesowałem się malarstwem, choć w tej tak wdzięcznej dziedzinie pozostaję jedynie laikiem.

— Po cóż taka przesadna skromność? — zawołał Bogumił W. — Pańskie esseye o Brueghelu należą do mej najmilszej lektury. Co prawda, więcej jest w nich refleksji filozoficznych niż analizy, ale to właśnie przydaje im uroku.

Obrazy Bogumiła W. wydały mi się piękne. Ukłuła mnie zazdrość. Złodziej, pospolity złodziej — pomyślałem o Bogumile W. — Ukradł mi mój temat, m o j e sulejowskie opactwo.

Zauważyłem, że osoba Czarnej Milady bardzo intryguje „Babie lato". Nieustannie zerkała na nią, oceniając jej urodę i jakby zastanawiając się, z kim ona tu przyjechała — ze mną czy z Natanielem. Spróbowała natychmiast wyjaśnić tę zagadkę z iście kobiecą bezczelnością. Podeszła do mnie, położyła mi dłonie na ramionach:

— Czy naprawdę, Tomaszu, przybyłeś tu z panią, aby szperać w starych dokumentach?

Zmieszałem się, czując na sobie zdziwiony wzrok Milady.

— Przywiózł mnie Nataniel, nie pytając o zgodę. Gdyby nie on, nigdy nie ośmieliłbym się mącić szczęścia, jakiego w tak uroczym zakątku zapewne zażywasz z Bogumiłem — powiedziałem ze złością, siląc się na wyszukany styl mistrza.

Westchnęła:

— Szczęście jest bardzo kapryśne...

Odwróciłem się na pięcie i powędrowałem na ukos przez podwórzec opactwa, kierując się w stronę cmentarzyska mnichów. Byłem ciekawy, jak prezentuje się płyta marmurowa na grobie naszego przyjaciela.

— Czy można panu towarzyszyć? — zagadnęła mnie Czarna Milady.

Podwórzec klasztoru obsiadły krzaki dzikiej róży, za nogi chwytały kolczaste gałązki jeżyn; rósł tu rdest i ostra, szablista trawa.

Były jeszcze i brzozy. Zarastały cmentarzyk mnichów, tam gdzie się w młodej zieleni traw lśnił w słońcu czarny prostokąt nagrobka.

Milady półgłosem odczytała napis wykuty w marmurze i pociągnięty złotą farbą:

Tu
spoczywa w pokoju
HERAKLIUSZ PRONOBIS
autor dzieła o ex librisach polskich
historyk i bibliograf
zmarł nagle 20 listopada 1951 r.

Przypomniał mi się pogrzeb Pronobisa, jego twarz podobna do gipsowego odlewu, stada kawek zawodzących ponad basztami, samotny liść szybujący w dół grobowy...

— Do ostatniej chwili swego życia zbierał dla mnie informacje o sulejowskich opatach — szepnąłem. — Przeczuwał, że niedługo połączy się z nimi. Chciał spocząć pośród nich...

Obok grobu Pronobisa świeciła ostruganym drzewem malutka ławeczka — jeszcze jeden dowód pamięci Nataniela. Milady usiadła, a ja patrząc na czarny marmur mówiłem jakby do siebie:

— To on nakłonił mnie do pisania „Dziejów sulejowskich opatów". Niekiedy zastanawiałem się: właściwie komu potrzebna jest ta praca? I myślę: jeśli potrzebna była Herakliuszowi, jeśli potrzebna jest Natanielowi i mnie, czy nie wystarczy, abym jej dokonał?

— Dziwny z pana człowiek — ozwała się Milady.

— Dlatego, że piszę „Dzieje sulejowskich opatów?"

— Nie. Dlatego, że również pisze pan swe korespondencje zagraniczne. Wierzy pan, że potrzebne są i korespondencje, i „Dzieje sulejowskich opatów". Niestety, te dwie sprawy wykluczają się wzajemnie. Będzie pan cierpiał...

Wzruszyłem ramionami.

— Wielu cierpiało w tym nieszczęsnym kraju. Najpierw chcieli nas uszczęśliwiać katolicy. W XIII wieku wytępili sektę biczowników. Na początku XIV wieku spalono na stosie „apostolskich braci wolnego ducha" zwanych „Dulcynistami". Jeszcze później zniszczono sektę „begwinek" i „begwardów". A co się działo potem? Arianie, rzecznicy nowinek husyckich, jamnicy, czarownice, bluźniercy w rodzaju Baldaricha-Bałdrzycha. Stosy płonęły w Polsce nie gorzej niż w innych krajach, choć o tym nie lubią u nas mówić. Herezje. Ciągła obsesja herezji. Kiedyż wreszcie dane będzie ludziom prawo do błędu, do herezji, do pisania „Dziejów sulejowskich opatów", do życia takiego, jakie sobie ktoś wymarzył...

Zamilkliśmy. Na lśniącej płycie jak na ciemnej szybie drżały refleksy słońca, które przedzierało się między gałązkami brzóz. Gdzieś z boku usłyszeliśmy znajome głosy. Milady rozejrzała się.

— Zdaje się, że nadchodzi żona pana Bogumiła.

— Żona? — skrzywiłem się sceptycznie.

— Lubi pan dokładność? Kocha się w niej pan, nieprawdaż?

— Kochałem się — sprecyzowałem. — Rozłączyły nas „Dzieje opatów". Stwierdziła, że nie mam przed sobą radosnej przyszłości i że lepszy jest malarz Bogumił. Teraz przestało jej odpowiadać malarstwo, zabiera się do poezji.

— Pan Nataniel jest pięknym mężczyzną.

— Tak. Tylko że już niemłodym — rzekłem nie bez satysfakcji.

— Wielcy poeci mimo podeszłego wieku potrafią uszczęśliwiać nawet młode kobiety. Przykładów znam mnóstwo.

Wzruszyłem ramionami:

— Niech się im szczęści. Chętnie zatańczę na ich weselu.

— Tak?

Nadeszli Nataniel i „Babie lato". Ona trzymała go za rękę, ale zobaczywszy nas, odsunęła się od mistrza.

— Zaraz nastąpi coś w rodzaju obiadu. Bogumił poszedł do miasta po a l k o h o l e — wyjaśniła „Babie lato".

Czarna Milady rzuciła jej niechętne spojrzenie. Powiedziała do Nataniela z wyrzutem:

— Mieliśmy zabrać się do pracy?

— Obrażę się — zawołała „Babie lato".

Mistrz pocałował rękę Czarnej Milady.

— Skarby Baldaricha-Bałdrzycha nam nie uciekną. Największy skarb to młodość i uroda, truizm ten wymyślony przez starych mistrzów przypieczętujemy butelką dobrego wina, o ile, rzecz jasna, takowe kupić można w Sulejowie. Poucza nas niejaki Węgierski:

„Rośliny z ziemi piją, ziemia pije z nieba,
Wszystko pije, bracia mili, więc i nam pić trzeba".

Zabłocki:

„Cóż zresztą nasze przodki od wieków robili?
Nic, tylko tęgo pili i tęgo się bili".

* * *

Poszedłem na spacer w stronę baszty opackiej. Ongiś obok niej znajdował się wspaniały pałac i rozciągały się żyzne ogrody — jeśli wierzyć relacji ks. Mucante, sekretarza nuncjusza, który wraz z kardynałem Geatano w roku 1597 gościł w Sulejowie u opata Szenkinga. Teraz tylko niekształtna kupa gruzu, fragment muru z łupku i sklepione kolebkowo piwnice oznaczały miejsce, gdzie mieszkali sulejowscy opaci. I być może właśnie stąd, z tej czworokątnej baszty opackiej wysoko ponad rzeką spoglądał na drugi brzeg opat Bernard. Nie myliłem się chyba, kiedy na podstawie portretu pędzla Tretki spróbowałem przedstawić charakter Bernarda. Twarz miał bladą, wychudłą od ciągłych postów i umartwień. Fanatyczne oczy Savonaroli. Jeśli z wielką pobożnością łączył fanatyzm — nie znalazła się w jego sercu nawet odrobina litości dla wszelkiego błędu, dla swobodnej myśli.

Palce Bernarda są krzywe jak szpony. Był więc chciwy... Fanatyzm, chciwość, bezwzględność, okrucieństwo. To one zaciągnęły na stos Baldaricha-Bałdrzycha. Ten cudem uniknął śmierci, ale w ręce opata wpadły jego majątki. Dwór Baldaricha zrównano z ziemią, stał się miejscem przez Boga wyklętym.

Istniało jednak coś cenniejszego niż majętność Baldaricha-Bałdrzycha. Nie udało się tego odnaleźć mnichom z Sulejowa — a chyba można zaufać legendzie? Zapewne umarł Bernard ze świadomością, że jednak niezupełnie zniszczył Bałdrzycha. Można więc przyjąć, że jego zwycięstwo nad Bałdrzychem było połowiczne. I że to Bałdrzych przez swą tajemnicę — w ostatecznym rachunku zwyciężył opata Bernarda.

* * *

Pod rosochatym dębem naprzeciw maurytańskiej wieży stał w trawie stół otoczony ławkami. Piliśmy wódkę zagryzając ją kawałkami pieczonej kury. Wino bowiem w Sulejowie okazało się tak kiepskie, że Bogumił nie chciał nim zrazić subtelnego podniebienia mistrza Nataniela.

— Natomiast wódeczką poeci nasi nigdy nie gardzili — tłumaczył się Bogumił.

Po drugim kieliszku rozochocona „Babie lato" zawołała wskazując na mnie palcem:

— Patrzcie na Tomasza! Jakże on smutny...

Ozwał się malarz Bogumił W.

— Trudno być wesołym wśród ruin i gruzów. Tym bardziej, jeśli uwierzyć temu, co usłyszałem o dziwnych białych mnichach i śmierci Herakliusza Pronobisa. Na mnie opactwo również działa przygnębiająco. Na szczęście, jeszcze tylko tydzień tu będziemy, a potem wyrywamy do miasta.

Wypiliśmy znowu po kieliszku. „Babie lato" nie przestawała mi dokuczać:

— Tomasz jest sentymentalny. On kocha w kobietach swoje własne o nich wyobrażenie. Ukochaną kobietę zamknąłby w ruinach i czytałby jej strona po stronie „Dzieje sulejowskich opatów". To straszny człowiek, drodzy moi.

Rzekł Nataniel:

— „Dzieje sulejowskich opatów", to wielkie dzieło. Nie na tym polega zło, że Tomasz pracuje nad tym dziełem, ale że mówi o nim kobietom. Zło w tym, że nie potrafi być dla kobiet pobłażliwym.

— Nie wszystkie kobiety wymagają pobłażliwości — wtrąciła się milcząca dotąd Czarna Milady.

— O! — zawołała znacząco „Babie lato".

— Nie pij więcej, koteczku — poprosił ją Bogumił.

Wzruszyła ramionami i rozlała wódkę do kieliszków. Wypiliśmy. Stała się wylewna i gadatliwa:

— A jednak z was wszystkich tylko jeden Tomasz potrafi kobietę kochać najprawdziwiej.

I uzupełniła płaczliwie:

— Tomasz mnie nienawidzi. Wiem to. Nienawidzi z powodu Bogumiła. Ale ja rzucę Bogumiła i wrócę do Tomasza, zobaczycie.

Malarz uśmiechnął się z pobłażaniem. Nataniel ujął czule dłoń „Babiego lata".

— Nie martw się dziecinko. Twoje szczęście leży mnie na sercu. Tomasz stał się uwodzicielem. W Borowie, gdzie byliśmy na wczasach, uwiódł na raz aż trzy kobiety.

Ktoś dotknął mojej dłoni. Czarna Milady.

— Panowie byli w Borowie? — zapytała mnie szeptem.

— Tak...

— A kiedy?

— W drugiej połowie stycznia.

— Czy nie przebywał tam również... nie dokończyła. Potrząsnęła głową i zapytała o „Babie lato". — Ile ta pani ma lat?

— Dwadzieścia dwa.

— Jest denerwująco kapryśna.

— O tak... — przyświadczyłem zgodnie.

Wódka została wypita, talerze opróżnione. Wieczór nastał ciepły, jakby to nie był maj, a koniec czerwca. Nataniel zaproponował spacer nad rzeką; on i Bogumił ujęli „Babie lato" za ręce. Wdrapali się na mur okalający opactwo i zeskoczyli na łąkę, przylegającą do rzeki. Kiedy zniknęli nam z oczu, Czarna Milady stwierdziła nieoczekiwanie.

— O, nie będzie pan z nią miał łatwego życia.

— Bo też i nie zamierzam z nią żyć — mruknąłem.

— Na pewno?

Wstała z ławki i ruszyła w stronę rzeki. Szła wolno ścieżką wśród gruzów. Była wyższa od „Babiego lata", kształty miała pełniejsze, bardziej kobiece. Tamta mimo swych dwudziestu dwóch lat wydawała się ciągle młodą dziewczynką; Milady była już dojrzałą kobietą.

Papieros smakował mi bardzo. Paliłem go wolno, z namaszczeniem. Potem i ja podniosłem się od pustego stołu i powędrowałem za Milady.

Nad rzeką napotkałem „Babie lato", Bogumiła i Nataniela. Stali na skraju piaszczystej łachy i łodygami wikliny płoszyli drobne rybki, które zgromadziły się w małej i płytkiej zatoczce. Na mój widok „Babie lato" porzuciła ich i pobiegła mi naprzeciw. Dopadła mnie i zaczęła szeptać przymilnie:

— Przepraszam cię, Tomaszu. Nie gniewasz się, prawda? Oni... — obejrzała się — oni są nie dla mnie. Bogumił, cynik i nudziarz. Nataniel zaś zbyt mądry. Traktuje mnie jak nieszkodliwe zwierzątko. Och, podrapałabym go za to...

— Gdzie jest Czarna Milady? — zapytałem przebiegając wzrokiem nadbrzeże.

Zasyczała jak rozgniewana żmijka o złotym ciele. Mała „żmijka miedzianka".

— Milady... Milady... Czarna Milady. Sądzisz, że nie domyślam się? Myślisz, że nie widzę jej gierek? Udaje dobra, wyrozumiałą dla twoich głupstw i mrzonek, dla twoich opatów i w ogóle... dla ciebie. Stara się „zrozumieć"... A nie wiesz, że to wszystko gra sprytnej baby. To przez nią ja się tak wygłupiam. Ona zmusza mnie, żebym była zupełnie inną niż jestem. Robię z siebie rozkapryszoną gąskę.

— Gdzie jest Czarna Milady? — ogarniał mnie niepokój.

— Milady... Milady. Zobaczysz, przekonasz się, ona cię oszuka i przywłaszczy sobie skarby, o których mówił Nataniel.

I „Babie lato" zaczęła płakać. Nie zwróciłem uwagi na jej łzy, „trzy są bowiem zbroje niewiasty". Podbiegłem do Nataniela, zapytałem o Milady. Nie, nie widzieli jej, nie było jej tutaj.

— Co się z nią stało? Przed kwadransem poszła w waszą stronę, nad rzekę — tłumaczyłem.

Mój niepokój zaczął się im udzielać. Był to niepokój prawie irracjonalny. Z niewytłumaczonych przyczyn ogarnął nas strach. Popędziliśmy krętymi ścieżkami przez podwórze opactwa. Zajrzeliśmy we wszystkie zakątki, zeszliśmy do piwnic, wdrapaliśmy się na wieżę. Nawoływaliśmy.

Bezskutecznie. Wreszcie zapytałem małego pastuszka pilnującego krów na stoku wzgórza klasztornego.

— Taka wysoka, czarna pani ubrana w brązową sukienkę — opisywałem.

Pokazał końcem bata w stronę mostu i miasteczka.

— Widziałem ją, jakże. Wyszła z klasztoru tu na drogę. Samochód stał. Z zakonnikami. Dwoma zakonnikami, w białych strojach. I ta pani do nich podeszła. A potem to ona wsiadła do samochodu i pojechali. Do Sulejowa pojechali.

Dopadłem auta mistrza Nataniela, zapaliłem motor. Mistrz powstrzymał mnie, wołając: „Nie jedź, jesteś po wódce, rozbijesz mi wóz. Do więzienia cię wezmą, Tomaszuuu!..."

Dojechałem do miasteczka. Owszem, widziano tu samochód z białymi zakonnikami. Oddalił się szosą w stronę Piotrkowa. Przynajmniej pół godziny minęło od tej chwili. Gonić ich? Nie, nie było sense. Tym bardziej że piłem wódkę.

Powróciłem do opactwa. „Babie lato" powitała mnie z pogardliwą miną:

— Głupi, głupi Tomaszu. Stało się jak przepowiadałam. Zdradziła cię, oszukała haniebnie, kochliwy mydłku. Jeśli cię to nie wyleczy z miłości do pierwszej lepszej kobiety, nie ma już na ciebie lekarstwa.

Oszukała? Zdradziła?...

* * *

Nocowaliśmy z Natanielem w gościnnej izdebce nad „Gospodą Ludową" w Sulejowie. A nazajutrz od wczesnego rana zasiedliśmy nad starymi księgami magistratu. Wręczając nam je przewodniczący Prezydium GRN — od rana podpity — przysięgał bijąc się ręką w piersi i sepleniąc:

— Ja... dla prasy wszystko. Stare księgi, co dobre i co złe u nas. Krytykujcie nas. Chwalcie. Wszystko od was przyjmiemy. Wszystko...

Nataniel, mistrz i poeta, odpowiedział mu wierszem:

„Tylko prasa
Tylko prasa
Tylko prasa nas przestrasza..."

Na stronach nr 78, 79, 80, 81, 82 i 83 znalazło się sprawozdanie z procesu:

„DOROTY SŁUŻKI BLUŹNIERCY BAŁDRZYCHA POSĄDZONEJ O CZAROSTWO DOKONYWANE Z NAMOWY BLUŹNIERCY BAŁDRZYCHA NA WSPÓŁKĘ ZE SŁUGĄ JEGO SZATANEM".

Sprawozdanie pełne było łacińskich zwrotów, ale mistrz Nataniel wychowany w liceum klasycznym — rychło się z nimi uporał.

Na początku sprawozdania widniała notatka, że na wniosek brata Michała z sulejowskiego klasztoru Dorota posądzona została o czarostwo i przed sąd miejski przedstawiona, który po próbie pławienia — a pławienie wypadło na niekorzyść Doroty — zdecydował poddać ją torturom.

...I tak tedy ligata et tracta parum (związana i pociągnięta na torturach) nic nie powiedziała... Tracta alterius (pociągnięta więcej) Dorota rzekła: „Dla Pana Boga, już powiem, jeno mnie puśćcie, nie psowałam nikomu ino naprawiałam. Naprawiłam piwo Szmerowej mówiąc: „Panny Mariej nocą, świętą pomocą, aby mnie tak źli ludzie odwrócili, a dobrzy się nawrócili", i znalazła mydło za obręczą i jej się teraz piwo zdarza".

Lubo nie o to chodziło bratu Michałowi z sulejowskiego klasztoru. Tedy zapytał on Doroty: „Gdzie jest cyrograf, na którym Bałdrzych, dawny pan twój przeklęty przez Boga, rozpisał się z czartem jego diabelskim pazurem?".

...Secundo tracta (po raz drugi pociągnięta), prosiła, żeby jej popuszczono: „Już powiem"... wiem..."

Remissa: „Nie popsowałam jeno naprawiałam".

Usta candelis nihil recognovit (przypalona świecami nic nie powiedziała). Przeto ją brat Michał jeszcze raz spytał:

„Z czartami pan twój Bałdrzych miał przymierze. Sama mówiłaś opatowi Bernardowi jako to Bałdrzych (podpatrywałaś go) w pracowni swej na wyspie pisał, a pisząc jakoby ze sobą rozmawiał, co nie mogło być prawdą, jeno on z diabłem rozprawiał, pod dyktando jego prace czyniąc na zgubę kościołowi, na zgubę ludzkości. Gdzież ukrył on swój cyrograf szatański?"

Distenta (rozciągnięta) powiedziała, że u Bałdrzycha z szatanem był czarny kosmaty. Oddała mu się z duszy i z ciałem, obiecał jej za to dać masła. Na drugą noc miał jej przynieść pieniędzy grzywnę, albo trzy, że nie będzie więcej nędzy cierpiała... Rzekła mu: „Ale się ciebie boję". On jej zaś rzekł: „Nie bój się mnie jedno krowę czarną kup, będziesz jagiełki z mlekiem warzyła i będziesz się przy mnie miała dobrze..."

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka"
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch" — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17. Z. 2170. VII. 58. M-4.

PRZEDPRODAŻOWY

ADAPTACJA POWIEŚCI ANDRZEJA OSTOJI

aspazja

ILUSTR. JBIS-GRATKOWSKI

— 49 —

Otóż w Indiach utrzymuje się tradycja, potwierdzona zapiskami w Rigwedzie i w innych częściach świętych Wed, że istnieli przed wiekami jacyś wielcy Hindusi, którzy umieli kierować energią witalną zawartą w nasionach roślin i tą drogą uzyskali możność przenoszenia się na planety. Odkryli oni również tajemnicę wiecznego życia. Nie ulega wątpliwości, królowa Aspazja jest Hinduską, gdyż ma na czole znak najwyższej kasty.

Doktor Freyd zaśmiał się sucho.

— Jesteście wszyscy razem głupcy! Skąd macie pewność, że ktoś taki jak królowa Aspazja w ogóle istnieje?

Rozległy się głośne okrzyki oburzenia i protesty. Tylko nasz kucharz Pierre Barrot podskakiwał i bił brawo.

— Koledzy — odezwałem się. — Musimy zachować spokój! Tylko spokój może nas uratować! Nie zapominajmy o tym, że znajdujemy się w sferze działania czarów marsjańskich. Musimy być odporni.

— Freyd ma słuszność — odezwał się Carrocci — ta kobieta istotnie może nie istnieć... To może być tylko złudzenie stworzone przez pszczoły.

— To jest jedno — rozwijałem swą myśl dalej — ale proszę zważyć, ile jest coraz to nowych tajemnic. Skąd się wzięła owa Aspazja? Jak długo żyje? Co ją łączy z pszczołami? Dlaczego jest ich królową? Co ją wiąże z Ziemią? Czy jest Ziemianką, czy jakąś inną istotą? Jakie są jej związki ze starożytną Grecją i Peryklesem? Dlaczego twierdzi, że jest Aspazją? Co uczyniła z naszymi ekspedycjami? Czy to jest ta sama „...azja", o której wspomniał Vituulen? Skąd posiada te niebieskie pioruny o napięciu miliardów wolt? Gdzie się ukrywa wraz ze swoim ludem? Dlaczego na Marsie nie ma żadnych śladów życia współczesnych Marsjan? Czym oni się tam, pod ziemią odżywiają? Co jedzą? Co piją? Czym oddychają? Gdzie śpią? Jak spędzają życie? No i tak dalej. Nasuwają się tysiące innych pytań...

— Dla mnie najbardziej niezrozumiała z tego wszystkiego — odezwał się Wanke — jest ich gra... na tych fujarkach.. to były ich pierwsze czary.

— Co tam gra wobec królowej Aspazji! — zawo-

— 50 —

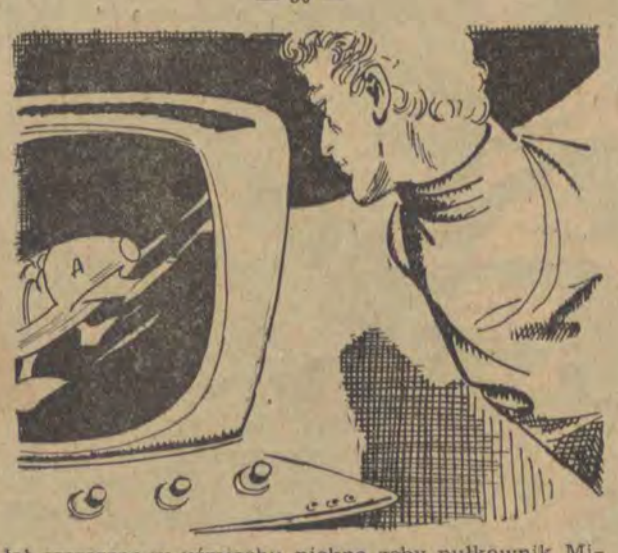

łał szczerząc w uśmiechu piękne zęby pułkownik Milowanic. — Cóż to wszystko znaczy wobec jej piękności?

— Jej piękność... i poznanie tego tajemniczego świata — szepnął profesor Cronenstraem.

Rozległy się głosy zachwytu. Każdy coś opowiadał o jej piękności Każdy marzył tylko o tym, by w pierwszej grupie udać się na zwiedzanie Marsa.

— Koledzy! — krzyknął raptem ostrym, rwącym się głosem Carrocci — Koledzy... ratunku! Ratunku! Uciekajmy na Ziemię! Zaraz! Natychmiast!

Admirał wśród ogólnego gwaru zarządził głosowanie dotyczące podziału na grupy. Wypisano 29 kartek i wyciągano je po kolei. Ja wyciągnąłem numer 24 i zostałem wyznaczony na kierownika trzeciej grupy. Kierownikiem pierwszej był admirał, a drugiej Carrocci. Do grupy admirała wchodzili między innymi Towsend i Freyd.

Zaraz po głosowaniu zaczęły się niesnaski i targi. Każdy chciał być w pierwszej grupie, wszystkich rozsadzała niecierpliwość. Każdy chciał być w pobliżu Aspazji — oglądać ją, podziwiać i uwielbiać.

Serce mi zamierało z rozpaczy, że muszę czekać ponad dwa tygodnie, zanim powrócą obydwie grupy moich poprzedników. Coś mnie pchało naprzód, jakaś wielka tęsknota, jakiś okropny niepokój.

— Ratuj! — zwróciłem się do Ola Freyda.

Pokiwał smętnie głową.

— Rozumiem cię doskonale. Ja wyjeżdżam pojutrze i nie mogę się doczekać tej chwili. Gdybym był na twoim miejscu, to chyba powiesiłbym się z rozpaczy.

— Czy ty ją kochasz? — zapytałem.

— Nie wiem... nie wiem — odrzekł z nutą głębokiego cierpienia w głosie. — Czym jest miłość wobec tego uczucia? Ani jednego dnia więcej nie chcę istnieć na tym świecie bez niej.

— Sam przecież twierdzisz, że to czary, że może to wymysł tych podstępnych pszczół, że może jej wcale nie ma?

— Tak, tak twierdzę — przyznał. — Niemniej już się nie wyzwolę z tej otchłani. Z tej ciemnej otchłani ludzkich namiętności. Jestem słaby. Nawet nie przy-

— 51 —

puszczałem, że tak bardzo — uśmiechnął się żałośnie.

— A Ziemia? Wszystkie piękne kobiety naszej Ziemi? Sprawy naszego życia? Mała Izabella Castellani?

Wzruszył ramionami.

— Tak więc — powiedział obojętnie — mogę ci przepisać następujące środki na twoje tęsknoty: co godzina pastylka vitavinu — będziesz zupełnie oszołomiony. Niemniej ten środek może się okazać za słaby, wówczas novocarelina, mocny narkotyk, wywołuje zupełne zobojętnienie przy zachowaniu pełni świadomości. Będziesz się śmiał ze wszystkich swoich pragnień i namiętności. Następnie pigułki sennatyczne: po zażyciu jednej śpi się kamiennym snem — dobę, po zażyciu trzydziestu — miesiąc.

* * *

Z uczuciem wielkiego smutku żegnałem się ze wszystkimi moimi przyjaciółmi i kolegami. Byli już ubrani w nasze piękne, srebrzyste skafandry stallorowe. Hełmy mieli odrzucone. Stali przed wyłazową komorą lotniczą. Ściskałem ich dłonie.

Obserwowaliśmy wszyscy przez potężne lornety, co się działo na dole. „Aga" obróciła cztery razy, zanim przewiozła wszystkich swoich pasażerów. Następnie na linii horyzontu ukazał się bardzo dziwny aparat latający. Był czarny, dość cienki i długi: leciał bardzo szybko jakimś wijącym się zygzakiem. Zdawało się, że pilot, który kieruje nim jest pijany. Podobny był do wielkiej gąsienicy. Zwierzchnictwo nad nim przejął Carrocci. Prosił, abyśmy zajęli się spokojnie swoją pracą. Nikogo przecież zwiedzanie Marsa nie ominie. Łączność z pierwszą grupą będziemy utrzymywać na drodze radiowej. Jednakże o pracy nie mogło być mowy. Wszyscy byli zbyt podnieceni. Jeśli o mnie chodzi, to co godzinę zażywałem pastylkę vitavinu.

Freyd przed odjazdem zrobił Ali Babie zastrzyk somnatyczny. Ma spać kilka miesięcy. Pragniemy go ocalić przed Aspazją. Barot zawiesił hamak w mojej małej kabinie z taśmotekami. Owinęliśmy Alego w ciepły, miękki, puszysty koc i ułożyliśmy w hamaku. Wygląda jak murzyński Apollo. Rzadko spotyka się ludzi o tak pięknej budowie ciała.

(d. c. n.)

GOLONO STRZYŻONO

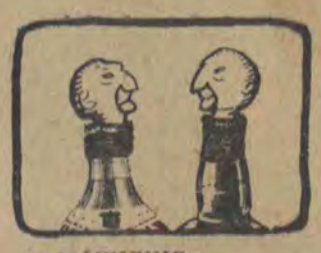

ZAMÓWIENIE

Stowarzyszenie restauratorów amerykańskich w Nowym Jorku zamówiło w NRF tysiąc ozdobnych korków do butelek z winem, zakończonych miniaturową główką kanclerza Adenauera.

METODA

Policja turecka poczęła ostatnio zwalczać alkoholizm wśród kierowców przy pomocy nowej zupełnie metody. Mianowicie, policjanci złapawszy kierowcę „na bańce", nakazują mu opuszczenie swego auta i policyjnym jeepem wywożą go co najmniej 25 kilometrów w głąb bezludnej okolicy. Tutaj wysadzają go i pozostawiają własnemu losowi. Według opinii tureckiej policji metoda ta daje wyśmienite rezultaty.

STRAŻNICY PROTESTUJĄ

Strażnicy więzień kanadyjskich złożyli w parlamencie protest przeciw temu, by ubrania szyli dla nich więźniowie, którzy czynią podobno wszystko, by wychodzące spod ich igły mundury wyglądały jak najśmieszniej.

HOPLA!

Przedstawiciele amerykańskiej firmy zbrojeniowej w Waszyngtonie ogłosili wynalezienie „jednoosobowego odrzutowego tornistra". Wynalazek ten może uczynić piechotę bardziej ruchliwą, ponieważ przy pomocy „odrzutowego tornistra" piechur może obecnie wykonywać skoki sięgające nawet 30 metrów.

TRADYCJONALIŚCI

W dzienniku brazylijskim „Estado de S. Paulo" ukazało się niedawno następujące ogłoszenie: „ARMATY Z XVIII WIEKU. Poszukujemy wszelkie typy i modele. Płacimy dobre ceny. Telefon 37-9501. Falar rom St. Luiz". A mówi się, że żyjemy w wieku bomby atomowej!

OSTATNI KRZYK MODY

„Starożytne" auta z okresu do roku 1920 stały się obecnie w USA ostatnim krzykiem mody. Podczas gdy nowe supermodele amerykańskiego przemysłu automobilowego nie znajdują zbytu, staroświeckie wozy osiągają sensacyjne ceny. I tak oto Cadillac z roku 1904 kosztuje 6 500 dolarów (cena z roku 1904: 900 dolarów), a wóz wyścigowy Simplex z podwójnym napędem łańcuchowym — 9 500 dolarów (1910: 6 000 dolarów). Liczne firmy samochodowe przestawiły część produkcji na części zamienne do aut „starożytnych". Liczba członków nowojorskiego „Klubu wozów bezkonnych" wzrosła z 350 w roku 1944 do 7 500 w roku 1958.

NOWATORSTWO

W londyńskim Albert-Hallu wykonano niedawno po raz pierwszy „Koncert na dwa auta i orkiestrę" kompozytora Anthony Hopkinsa. W centralnej części tego utworu dwaj muzycy, Peter Rockcliff i Tom Stothert, siedząc w dwóch starych autach — naciskają klaksony, zapuszczają motory oraz włączają i wyłączają wycieraczki, czyniąc wszystko to tak, jak gdyby jechali naprawdę. Obu solistom towarzyszy orkiestra londyńskiej filharmonii.

PRZESZKODA

W Uetzing (NRF) strumień biegnący przez wieś wystąpił nagle z brzegów, bez żadnych uzasadnionych przyczyn. Liczne domy zalane zostały wodą. Kiedy kilku przerażonych mieszkańców postanowiło odkryć powód tej katastrofy, okazało się, że kanał odpływowy strumienia został szczelnie zatkany przez tłustą gęś.

PRZYPOMNIELI SOBIE!

Anons w „Nürnberger Nachrichten" z 31 maja na 1 czerwca 1958 r. w dziale „Wiadomości urzędowe": „Skreślenie w rejestrze handlowym. HRA 2197: wydawnictwo „Der Stürmer", Julius Streicher w Norymberdze".

NASTĘPCY HOLMESA

W „Aachener Volkszeitung" znalazł się niedawno następujący meldunek: „Policja kryminalna, którą wezwano we wtorek rano, była już przedtem uprzedzona, iż gdzieś w mieście planowany jest napad na sklep spożywczy. Jednakże nie było, niestety, wiadomo, iż tym razem kolej przyszła na ulicę Adalberta".

NIEZWYKŁA ROZPRAWA

Pewien farmer z Akron (Ohio, USA) został zaskarżony przed sądem administracyjnym przez swego sąsiada o to, iż pies oskarżonego przebywał ustawicznie na podwórku powoda. Sąd uniewinnił jednak właściciela psa. Udowodnił on, mianowicie, iż pies był stale przywoływany gwizdaniem przez papugę sąsiada.

ZEMSTA PTAKÓW

Sąd Najwyższy USA otrzymał od Senatu dotację w wysokości 35 tysięcy dolarów na zainstalowanie na dachu siedziby sądu, aparatu elektronowego, który służyłby do odpędzania tysięcy ptaków, które nadmiernie zanieczyszczały fasadę budynku. Jednakże na następnym posiedzeniu Kongresu decyzja ta została cofnięta. Ptaki bowiem, odpędzane przez aparat elektronowy, obrały sobie natychmiast na rezydencję Kapitol, zanieczyszczając okna senatorów i deputowanych do Izby Reprezentantów.

Rysunek konkursowy przedstawia 30 postaci znanych z historii, literatury i żyjących współcześnie. Konkurs polega na odgadnięciu imion bądź nazwisk wszystkich 30 postaci.

Uwaga: większość postaci skojarzyliśmy w pary ze względu na to, że znane są z historii i anegdoty literackiej bądź ze względu na łączące ich więzy lub podobieństwa zawodowe.

Uczestnik konkursu obowiązany jest wypisać na oddzielnej kartce imiona bądź nazwiska wszystkich 30, postaci dołączyć pomieszczony przy niniejszym kupon i nadesłać rozwiązanie w kopercie z napisem: «III Konkurs „Odgłosów"» w terminie do dnia 5 sierpnia br. Wśród uczestników konkursu, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną dwie nagrody:

I. Bezpłatne skierowanie na wczasy „Express-Słońce"
(podróż wagonem sypialnym na trasie Poznań — Szczecin — Międzyzdroje — — Koszalin — Gdynia — Sopot — Gdańsk — Olsztyn — Warszawa — Łódź, połączona ze zwiedzaniem tych miejscowości i z dwudniowymi pobytami w Międzyzdrojach i Sopocie)

II. Bezpłatne skierowanie na wczasy „Statkiem po Wiśle"
(oba skierowania przewidziane są na drugą połowę sierpnia br.).

KUPON
III KONKURS
„ODGŁOSÓW"
POLONEZA
CZAS ZACZĄĆ

W najbliższym numerze:
MARIAN PIECHAL: Jądro światłości
JULIUSZ JANCZUR: Kto winien?
(refleksje na marginesie sprawy Heleny Ratajczyk)